

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XVI
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. | **Kraków, 18. sierpnia 1917.** | **Nr. 33.**

Śladem odwrotu Rosyan.

1.



2.



3.



4.



1) Zdobyty przez sprzymierzonych moździerz rosyjski na dworcu w Tarnopolu. 2) Motyw z tarnopolskiego dworca, zniszczonego przez Moskali. 3) Reszta samochodów rosyjskich na drodze wiodącej do Tarnopola. 4) Jedna z ulic w Tarnopolu. (Fot Buła.)

Tydzień opieki legionowej.

Wszystkie sfery naszego społeczeństwa odczuwają konieczność pospieszenia z pomocą żołnierzom naszym, którzy z bohaterskich bojów w imię Ojczyzny wynieśli rany, kalectwo, niezdolność do pracy, oraz ich rodzinom, wdowom, żonom, dzieciom i matkom. W poczuciu też tego obowiązku, zorganizowano Tydzień opieki legionowej. Program tygodnia ułożono na zebraniu publicznem, na którem hr. Jerzy Mycielski przedstawił w obrazowem ujęciu karty chwały Legionów polskich i obowiązek społeczeństwa uznania zasług ich przez niesienie wszechstronnej pomocy tym ofiarnikom lepszej przyszłości narodu. Następnie w przybliżonych, okrągłych cyfrach przedstawił dotychczasową działalność Departamentu Opieki, zaznaczając, że będzie ona mogła tylko w tym wypadku być dalej prowadzoną intenzywnie, jeśli ogół nie poskąpi szczodrych datków.

Świadczenia Departamentu Opieki od początku jego powstania, to jest od maja 1916 roku po dziś dzień, przedstawiają się w głównych zarysach, jak następuje: Wypłacono tytułem zapomóg dla inwalidów legionowych sumę 15 200 koron, dalej zapomóg dla superarbitrowanych osobno 14.500 koron. Tytułem wspomożenia wdów i sierót wydano 16 300 koron. Rodzinom legionistów udzielono wsparcia w sumie 20.100 koron. Pomoc szkolna i Biuro pośrednictwa pracy pochłonęły 6 400 koron. Zaliczki, udzielone na poczet zasiłków rządowych wynosiły 17.500 koron. Następnie figuruje w zestawieniu nader poważna kwota, użyta na subwencye dla schronisk legionowych i zakładów, gdzie znajdują pomoc i opiekę, mianowicie kwota 93.000 koron. Nakoniec magazyny ubrań i obuwia, tak niezmiernie potrzebne legionistom, zamykają zestawienie kwotą 49.600 koron. Ogólna suma wydatków za rok administracyjny zamknięty, to jest po koniec maja b. r. wynosi łącznie 233.100 koron. Czerwiec wykazuje ogólne rozchody w sumie 32.097 koron.



Śladem odwrotu Rosyan: Kościół parafialny w Zborowie.



Śladem odwrotu Rosyan: Miejscowość Młynowce, obok dworca kolejowego w Zborowie.



Krytyczna chwila w Legionach: Internowani Legioniści w Kaliszu, w drodze do obozu w Szczypiórnie.



Śladem odwrotu Rosyan: Pozostałości z rosyjskiego składu amunicyi, wysadzonego w powietrze przez sprzymierzonych pod Kozową. (Fot. Bufa).

Rezultaty rzeczywiście piękne, jednakowoż nie zamykają tych wysiłków. Przeciwnie potrzeby rosną bez ustanku, przybywa chorych, kalek, wychodzą ze szpitali ozdrowieńcy, którym trzeba dać zajęcie i żywność, dzieci i sieroty jeść wołają. Jednocześnie zaś wzrasta w sposób zastraszający drożyzna. Podołać zadaniu coraz trudniej. Aby tedy ofiarność publiczną na cele powyższe pobudzić, urządzono w całym kraju Tydzień opieki legionowej, z bardzo rozległym programem. Obok festynu i zbiórki ulicznej w dn. 7—14 sierpnia, dochodu z przedstawień i t. p. komitet Tygodnia przygotował piękny afisz, który posiada wszelkie warunki, by przyniósł pokaźny dochód. Na dalszem tle sylweta wieży Maryackiego kościoła, powyż niej chmura, na pierwszym planie stoi legionista w pełnem umundurowaniu z karabinem w ręku. Całość wykonana w kilku barwnej litografii jest dziełem sztuki niepośledniem, a pośród afiszów legionowych z czasu wojny zajmie jedno z pierwszych miejsc.

Krytyczna chwila w Legionach.

Dwa fakty wstrząsnęły głęboko opinią polską: internowanie Legionistów, którzy nie chcieli złożyć przysięgi i pozostające z tem w związku aresztowanie Piłsudskiego.

Wydarzenia te wywołały na całym świecie olbrzymie wrażenie, a tembardziej Polska musiała odczuć je głęboko. Kraków zaprotestował przeciw aresztowaniu twórcy Legionów polskich manifestacyą na Rynku. Po przemówieniach posła Śliwińskiego i reprezentantów młodzieży pod pomnikiem Mickiewicza, ruszył pochód pod pomnik Jagiełły, gdzie również wygłoszono przemówienia, poczem uczestnicy manifestacyi rozeszli się w spokoju.




(Fot. chor. Dunaj) Kompania przy ćwiczeniach z karabinami. **Kadry armii polskiej**: Oficerowie przy nauce celowania.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy fragment z tej manifestacyi na cześć Piłsudskiego w Krakowie, mianowicie moment przemówień pod pomnikiem Mickiewicza, oraz przemarsz niezaprzysiężonych Legionistów przez Kalisz do obozu w Szczypiórnie.

Ucieczka z niewoli.

W tych dniach powrócił do Warszawy, zdoławszy uciec z niewoli rosyjskiej, głośny z walk karpackich, podpułkownik Legionów, Henryk Minkiewicz.

Z zawodu artysta malarz, ur. w r. 1880, jeden z organizatorów Związków strzeleckich na Podhalu i jeden z dowódców legionowych, jako komendant 3 p. p. w czasie przeszłorocznej ofenzywy rosyjskiej nad Styrem dostał się do niewoli w bitwie pod Studzienницą. Wobec przewagi wroga, po przerwaniu frontu nad Styrem, oddziały legionowe z największym wysiłkiem ochraniały odwrót całego frontu, a poszczególne kompanie przebijały się bagnetem, gdy leśnymi przesmykami Moskale przedostali się na tyły legionowego frontu. Trzeciemu pułkowi w walkach tych przypadła rola krycia odwrotu innych oddziałów. W tej walce 3 p. p. ciężkie poniósł straty, a jego komendant wraz z kilku oficerami dostał się do niewoli.



Krytyczna chwila w Legionach: Manifestacya ku czci Piłsudskiego na Rynku w Krakowie

Legiony utraciły chwilowo jednego ze swych najdzielniejszych wyższych oficerów, który walcząc od chwili wymarszu w pole 2 brygady w randze porucznika, objął komendę, składającej się przeważnie z Podhalan, 1 kompanii 1 batalionu. W listopadzie 1914 r. za walkę pod Pniowem został zamianowany kapitanem; 14 marca 1915 r. za nadzwyczajnie dzielne i wzorowe prowadzenie powierzonego mu batalionu w czasie nocnego napadu pod Rafajłową, zamianowany został majorem. Batalion majora Minkiewicza w 2 brygadzie, noszący zaszczytną nazwę „żelaznej gwardyi", przeszedł najcięższe boje 2 brygady. Sławę swą zawdzięczał nie tylko bitności swoich żołnierzy, ale też dzielności i zdolności swego komendanta, który, pilnie przestrzegając karności i dyscypliny, równocześnie był troskliwym opiekunem i przyjacielem żołnierzy.

Objąwszy po pułk. Hallerze w kwietniu 1915 r. komendę 3 pp. aż do chwili dostania się do niewoli stał na czele tego wyborowego pułku, który w walkach nigdy nie zawiódł, a w krwawych zapasach jeszcze w r. 1915 zdobył sławę bitwą o „Górę Polaków", gdzie stracił kilku najdzielniejszych swych oficerów i złożył obfitą dań w zabitych i rannych. Pod wodzą swego komendanta (mianowanego podpułkownikiem 23 września 1915 r.) nieustannie trwał na najbardziej narażonym odcinku. W czasie całej ofenzywy rosyjskiej po krótkim wypoczynku znów rzucony w ogień w zaciętych walkach poniósł znaczne straty, a najdotkliwszą była utrata bohaterskiego i umiłowanego komendanta.

Czas niewoli od pamiętnego dnia 7. lipca ze-



Śladem odwrotu Rosyan: W rowie strzeleckim na Złotej górze



Śladem odwrotu Rosyan Lej utworzony przez uderzenie 42 centimetrowego pocisku. Poza nim zniszczone zasieki.

szłego roku, kiedy wpadł w ręce wroga, spędził podpułkownik Minkiewicz w Nikołajewsku w gub. Samarskiej. Wyratowanie z niewoli zawdzięcza czynnej pomocy rodaków w Rosyi, bo zresztą jako poddanemu rosyjskiemu groziła mu śmierć przez powieszenie. Podpułkownik Minkiewicz jechał przez Finlandyę i Sztokholm.

Wojna na morzu.

Tocząca się już czwarty rok wojna światowa, najbardziej zażarta ze wszystkich, jakie historya zapisała na swych kartach, różni się zupełnie od swych poprzedniczek. Można śmiało powiedzieć, iż ogarnęła cały świat, rozgrywa się zaś równocześnie na lądzie, wodzie i w powietrzu, wszędzie z jednakową zaciętością. Ponadto prowadzi się ją



Ucieczka z niewoli: Henryk Minkiewicz, podpułkownik Legionów.

w sposób zupełnie odmienny, niż to miało miejsce dotąd, przerzucając co pewien czas punkt ciężkości z miejsca na miejsce. Ale, bo też nigdy dotąd nie walczono na tyłu frontach. Europa najwięcej dotąd ucierpiała, skutki wojny poczuła już na sobie Azya, w mniejszym stopniu Afryka. Ameryka przygotowuje się dopiero do wzięcia czynnego udziału.

A wszystko to dzieje się rzekomo w interesie pokoju światowego... Setki jednak lat miną, nim się uda usunąć przykre skutki i następstwa i powetować straty, jakie cała ludzkość poniosła.

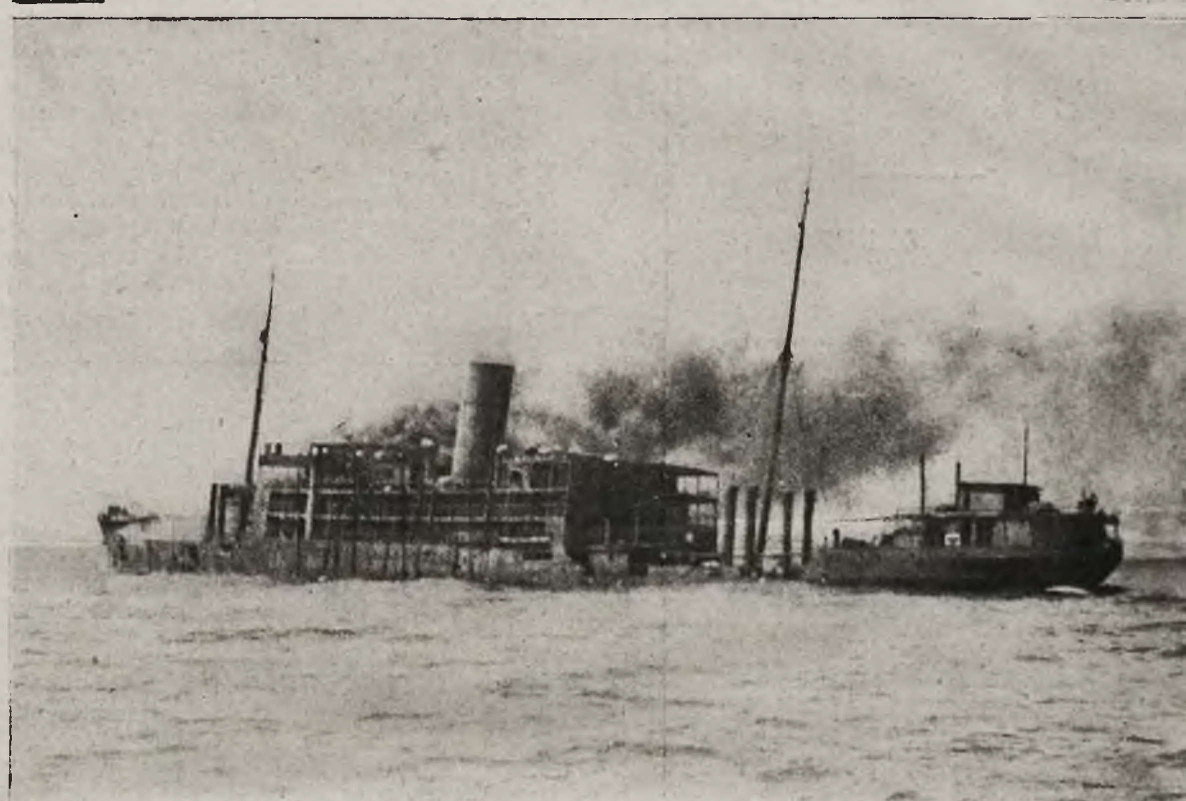
I wojna na morzach, zwłaszcza zaś otaczających Europę, prowadzoną jest na nowy sposób. Najpotężniejsze floty wojenne obydwu stron, jak gdyby nie dowierzając swej sile, trzymają się na uboczu, największa ze stoczonych dotąd bitew morskich pod Skagerrakiem, wypadła na niekorzyść Anglii, która dotąd powszechnie uważaną była za królową mórz. Także i flota austryacka, uważana za słabą, zdobyła laury i kilkakrotnie dała się porządnie we znaki daleko silniejszemu przeciwnikowi.

Miało się więc do czynienia ze samemi niespodziankami, w jakie obecne zmaganie się stron walczących tak obfituje.

Natomiast, zamiast otwartej walki na morzu, mamy teraz do czynienia z walką łodzi podwodnych, dawniej zupełnie nieznanych. Jest to pewnego rodzaju walka podjazdowa, nie ujęta w żadne zasady strategiczne, a mająca za zadanie niszczenie statków nieprzyjacielskich, o ile dostaną się w strefę oznaczoną przez mocarstwa centralne, jako teren wojenny. Ilu łodziami podwodnemi które z państw walczących rozporządza, tego dziś nikt nie wie, jak również jest tajemnicą, gdzie one mają swe główne stanowiska i skąd wyruszają. To jedno jest pewnem, iż są one postrachem nawet największych okrętów wojennych, a żniwo ich przekroczyło już dawno miliony ton, które pogrążono w morskich odmętach.

To też jednym z głównych celów ostatniej rosyjskiej ofenzywy w Galicyi było zajęcie Borysławia i okolicy, by mocarstwa centralne pozbawić głównego źródła, skąd czerpały naftę i benzynę. Ten zamiar się nie powiódł, z bólem też serca koalicya zapisać to musiała na liście swych niepowodzeń.

Łódź podwodna stała się dziś najważniejszym czynnikiem w walce na morzu, zmieniając zupełnie zasady dawnej marynarskiej strategii i tem właśnie tłumaczyć sobie można to wstrzymywanie się od udziału w walce morskiej nawet największych jednostek bojowych, wprost bezsilnych wobec małej i niepozornej na oko łodzi podwodnej.



Wojna na morzu: Angielski parowiec oceaniczny „Mashobra", tonący po ostrzelaniu go przez austryacką łódź podwodną.



Śladem odwrotu Rosyan: Pogrzeb ofiar gwałtów rosyjskich w Tarnopolu. (Fot. Bufa).

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

II

— Czyżbym nie zastał nikogo w domu?...

Trochę niezadowolony, miał już wrzucić do skrzynki na listy swój bilet wizytowy, kiedy posłyszał szybkie, lekkie kroki.

Ktoś z wewnątrz odsunął zatrzask, otwarły się drzwi i przed zdziwionym Łuniewskim rozbłysła na półmrocznem tle przedpokoju jasna postać kobieca.

Śliczna panienka z kwiatami, którą wczoraj zaczepił na ulicy Władek!

Ta sama, a jednak inna!... To już nie ta łobuzerska dziewczynka, w przekrzywionym na bakier kapeluszu — z rozgrzaną, zaczerwienioną twarzyczką, z uśmiechem dziecinnej wesołości na ustach, z filuternemi iskierkami w oczach...

„Za piękna, żeby ją zaczepiać", powiedział o niej wczoraj do kolegi. Dzisiaj wydała mu się równie, nawet bardziej piękną — choć starszą, dojrzalszą, bledszą i... smutniejszą.

Na tle ciemnych obić i kotar, pośród bardzo pospolitych wieszadeł przedpokoju pani Żarnickiej — Józia jaśniała matową białością swojej cery, turkusowemi gwiazdami oczu, purpurowym kwiatem ust, jak obraz, pędzlem mistrza w chwili natchnienia malowany.

Ale obraz żywy — tchnący ciepłem powab kobiecych, pętający myśl i oczy jakimś czarem nieokreślonym a przemożnym wyrazu twarzy, spojrzenia, każdego ruchu.

Te oczy pod długiemi, ciemnemi rzęsami przytaiły gdzieś głęboko na dnie wiośniane, figlarne roześmianie, a spoglądały teraz słodkie, zadumane, jakby smutne trochę. I ciągnęły ku sobie, jak niewidzialną złotą nitką, każąc wpatrywać się w głąb swoją nieprzeniknioną, tajemniczą — niebezpieczną może.

Łuniewski, zaskoczony, olśniony tem zjawiskiem, zapomniał w pierwszej chwili, gdzie jest, po co przyszedł i co ma powiedzieć.

Przez chwilę stał w milczeniu z kapeluszem w ręku, z lekko pochyloną ciemno-blond głową, bardzo zgrabny i wytworny w swojem czarnem, wizytowem ubraniu.

Józia, pod wpływem tego spojrzenia mężczyzny zaróżowiła się i zmieszała. Przypomniało się jej nagle, że jej domowa bluzka, z kwiecistych chłopskich chustek zeszyta, ma zbyt głębokie wycięcie i zanadto szerokie rękawy — i że warkocze jej nie są upięte, ale spływają swobodnie po ramionach.

Szybko cofnęła się w cień kotary.

— Czy zastałem panią Żarnicką? — zapytał gość, otrząsnąwszy się z pierwszego, oszałamiającego wrażenia.

Zanim Józia zdążyła odpowiedzieć, już wionęły w przedpokoju wykrochmalone spódniczki Joasi i ozwał się jej cienki głos:

— Całuję rączki... Pani jest w domu, proszę pana.

— Proszę powiedzieć pani, że przyszedł Łuniewski.

— Zaraz pani powiem... Niech pan pozwoli tutaj, do salonu.

Józia zniknęła już za kotarą, a Łuniewskiemu zdało się nagle, że to zagasło światło, albo rozwiało się jakieś bardzo piękne marzenie.

Wchodząc do salonu pani Żarnickiej, miał ciągle jeszcze jej obraz w oczach.

W oczekiwaniu na panią domu, usiadł na wyścielanem, jedwabną materyą krytem krzesełku i zaczął przeglądać jakieś album. Patrzył, przerzucał machinalnie karty, ale nie widział fotografii krajobrazów tyrolskich, bo w mózgu jego snuła się uporczywie myśl:

— Kto ona?... Pewnie jakaś krewna... Może koleżanka Loli...

— Niema co — powiedział sam do siebie, odkładając album — ślicznie się przedstawiłem... Stanąłem, jak głupi student i zapomniałem języka w gębie... I dlaczego?... Małoż widziałem piękności — skończonych, klasycznych... Ale w tej dziewczynie jest coś osobliwego, jakieś licho, czy co... Ale kto to jest?... Skąd ona się tutaj wzięła... Przecież Żarnicka nie ma drugiej córki.

Joasia tymczasem pobiegła co tchu do pokoju swojej pani, która odbywała zwykłą popołudniową drzemkę.

— Proszę pani, przyszedł pan Łuniewski...

Pani Żarnicka zerwała się z kanapy, przetarła oczy i spojrzała na służącą.

— Kto? Pan Łuniewski?

— Tak, proszę pani.

— A prosiłaś do salonu?!

— Jakżeby inaczej?

— Gdzie panna Lola?

— Panienka w swoim pokoju...

— Idź, powiedz panience... Albo nie... czekaj... ja sama pójdę... Daj mi czarną bluzkę... ależ nie tę, tylko jedwabną!...

Pani Żarnicka pospiesznie poprawiła przed lustrem fryzurę, przypudrowała zaczerwienioną ze snu twarz, zmieniła luźną matinkę na czarną, jedwabną bluzkę i szybko poszła do pokoju córki.

Joasia, zawieszając porzuconą matinkę w szafie, uśmiechnęła się znacząco i mruknęła sama do siebie:

— Ale ci się stara gorącuje!... To pewnie będzie jakiś „konkorent" do naszej marmuzeli...

Żarnicka zastała Lolę, pogrążoną w czytaniu jakiejś powieści, którą panienka na widok matki prędko z błyskawiczną szybkością ukryła pod poduszki kanapy.

Ale matka zbyt była zaaferowana, aby zwrócić uwagę na ten szczegół, świadczący, że córka jej uprawia zakazaną lekturę.

— Lolu, Łuniewski przyszedł!

Lola zerwała się na równe nogi. Czarne oczy błysnęły, na bladą twarz trysnął żywy płomień.

— Ubieraj się, a żywo... Upudruj się trochę różowym pudrem. Włosy zaczesz niżej na uszy, tak ci bardziej do twarzy... Sukienka etaminowa, ta „gris perle" — to będzie ładnie, elegancko, a skromnie i nie zanadto uroczyście... Pantofelki naturalnie popielate...

— Dobrze, mamusiu — odpowiedziała Lola głosem, który miał w sobie jakieś ciepłe, wibrujące tony.

— Pomogłabym ci, ale nie mogę mu pozwolić tak długo czekać samemu w salonie... Może ci przysłać Joasię...

— Nie! Nie! Ja się sama ubiorę...

— No, to spiesz się...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Jakże się cieszę, że widzę pana u nas!... Co za miła niespodzianka!...

— Objąłem posadę w tutejszej Centrali...

— Słyszałam... Ale zanudzi się pan w Łykowie...

— Ej! Może nie — uśmiechnął się Łuniewski — ja już mam taką naturę, że nudzę się albo wszędzie, albo nigdzie... Zresztą mam nadzieję, że państwo nie odmówią mi swego towarzystwa...

— Ależ naturalnie! Będzie nam bardzo miło!... Niechże pan przychodzi jak najczęściej, bez żenady!... Jak do rodziny!... — mówiła pani Żarnicka z uprzejmym uśmiechem.

— Gdzież Konrad, czy także w Łykowie?

— Ach! Nie... Konrad przy wojsku...

— Tak?... I cóż z nim?...

— Jest obecnie na Węgrzech — na razie przydzielono go do służby etapowej...

— Poproszę o jego adres i napiszę...

— Ucieszy się bardzo.

— A panna Lola w domu? Czy zdrowa?

— Lolka skończyła liceum i jest teraz w domu. Trochę zmęczona, osłabiona egzaminami, przydałoby się jej świeże powietrze, ale pan wie, wyjazdy w obecnych stosunkach są tak kłopotliwe...

— Oczywiście! Najlepiej siedzieć u siebie.

Gładko potoczyła się banalna rozmowa towarzyska, przeplatana wspomnieniami wspólnych spacerów, zabaw, wycieczek i utyskiwaniami na ciężkie czasy, na smutki i braki wojenne.

Łuniewski już kilka razy rzucał dyskretne wprawdzie, ale trochę niecierpliwe spojrzenia w stronę pluszowej, ciemnowiśniowej kotary, osłaniającej drzwi.

— Nareszcie ukazała się Lola.

Ożywiona, leciutko zaróżowiona, z błyszczącemi promiennie oczyma, wyglądała bardzo ładnie w swej szaro-perłowej sukience, ozdobionej ponsowemi kokardami.

Fałdzista, doskonale skrojona spódnica i suto marszczona bluzka, z bufiastymi nieco rękawami, maskowały nadmierną chudość dziewczyny, a ponsowe kokardy rzucały wesołe refleksy na anemiczną cerę.

Gorące błyski w czarnych oczach i uśmiech szczerego rozradowania — rzadki gość na ustach Loli — dodawały tej twarzy, zwykle chłodnej i obojętnej, wdzięku młodości swobodnej i pełnej temperamentu.

Pani Żarnicka była zupełnie z wyglądu córki zadowolona. Znajdowała wprawdzie, że, po tak długiem niewidzeniu, mogłaby Lola być trochę więcej *reservée*, ostatecznie jednak... Może i tak lepiej...

Łuniewski zrobił w duchu uwagę, że Lola bardzo wyładniała i ma w sobie dużo prawdziwej, niewymuszonej dystynkcyi.

Gdy jednak witał się z nią, oczy jego powędrowały gdzieś dalej, poza ciemną, ładnie uczesaną główkę Loli, jakby oczekując, że jeszcze ktoś się ukaże.

Ale nikt się nie ukazał i na nowo rozpoczęły się wspomnienia miłych wakacyi zakopiańskich, tylko z nadejściem panny rozmowa ożywiła się, stała się bardziej swobodną, więcej ciętą i dowcipną.

Lola wprawdzie, zwyczajem swoim, mówiła niewiele, ale trafnem spostrzeżeniem czy dowcipną odpowiedzią umiała zręcznie podsycać swadę i dobry humor gościa.

Nagle Łuniewski, odbiegając od omawianego tematu, rzekł niespodzianie:

— Przepraszam, jeżeli będę niedyskretnym, ale obiło mi się o uszy, że Konrad miał się żenić... Ktoś mi nawet mówił, że się już ożenił...

Pani Żarnicka jęła zawzięcie poprawiać swoją broszkę, która wszakże nie przekrzywiła się ani na milimetr.

— Rzeczywiście ożenił się... — powiedziała trochę sucho.

— Ależ w takim razie muszę mu złożyć życzenia. I gdzież jego żona?...

— Tutaj u nas — pospieszyła z odpowiedzią Lola.

— Więc będę miał przyjemność ją poznać...

— Nie dzisiaj jednak — odparła pani domu — synowa moja jest cierpiąca i nie wychodzi ze swego pokoju...

— O! To smutne... Ale chyba nic poważnego?...

— Nie... nie... To chwilowa niedyspozycya...

W głosie pani Żarnickiej dźwięczała bardzo lekko wprawdzie, ale dźwięczała przecież nuta irytacyi.

Co też wpadło temu Łuniewskiemu do głowy dopytywać się o żonę Konrada. Pewnie mu nagadali ludzie historyi i dlatego taki ciekawy.

Łuniewski istotnie zasłyszał to i owo i zobaczyłby chętnie wybraną Konrada. Choć właściwie nie tyle mu chodziło o panią Konradową, ile miał nadzieję, że pośrednio dowie się czegoś o... tamtej drugiej.

Nie przeszło mu to bowiem nawet przez myśl, że żona Konrada Żarnickiego i śliczna dziewczyna z niebieskiemi oczyma mogą być jedną i tą samą osobą.

Spostrzegł wszakże, że rozmowa o małżeństwie syna niemiłą jest pani Żarnickiej, więc urwał. Zapytał panie, czy mu pozwolą zapalić papierosa.

— Rozumie się! — zawołała wesoło Lola, sama podsuwając gościowi popielniczkę. — O! my jesteśmy przyzwyczajone do palenia... Konrad kopci od rana do wieczora... I czemuż pan nie zapalił odrazu, bez ceremonii... Wiemy przecież, że pan jest nałogowym palaczem...

Łuniewski wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i benzynową zapalniczkę. Zapalił papierosa z widoczną rozkoszą, zaciągając się dymem.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Ale to panie mają w domu wesoło i ludno — podjął znowu rozmowę gość — bo, oprócz małżonki Konrada, bawi u pań jeszcze jakaś młoda osoba... Czy to może koleżanka pani, panno Karolino?

— Kto taki?... O kim pan mówi?...

— Drzwi otworzyła mi jakaś młoda panienka, jasna szatynka... — ciągnął dalej Łuniewski, chcąc się koniecznie dowiedzieć bliższych szczegółów o nieznajomej.

Pani Żarnicka niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Jakto? To nie służąca otworzyła panu? Ach! Ta nasza służba!...

— Służąca przyszła później, a ta panienka...

— Ależ to była właśnie Józia!... Bratowa!... — wypaliła niebacznie Lola, nie spostrzegając, że matka daje jej oczyma porozumiewawcze znaki.

Mięśnie twarzy młodego człowieka zadrgały prawie niedostrzegalnie. Nagłym nerwowym ru-

chem zgniótł niedopalonego papierosa w popielniczce.

Przymrużył mocniej swoje oczy krótkowidza, chcąc może ukryć ironiczne iskierki, jakie mu zamigotały w źrenicach.

— Choroba pani Konradowej nie zdaje się być zbyt poważną... — wyrzekł po chwili, tonem zupełnie swobodnym, w którym jednak wprawne ucho mogło złowić odcień szyderstwa. — Młoda pani wyglądała zupełnie zdrowo...

Pani Żarnicka przygryzła wargi. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

— Bratową bolała trochę głowa — usiłowała salwować kłamstwo matki Lola — ale pewnie już się jej lepiej zrobiło. Zapewne zechce wyjść do nas i pozna ją pan... Pójdę ją poprosić...

— Zostań — powiedziała krótko matka. — Ja sama pójdę.

Pani Żarnicka wstała i szybkim krokiem wyszła z salonu, pozostawiając młodych sam na sam.

Józia zdumiała się, kiedy bez pukania otwarły się drzwi jej pokoju i zarysowała się w nich wyniosła, imponująca w zwojach czarnej materyi i koronek, postać teściowej.

Pani Żarnicka zmierzyła rozognionym wzrokiem napół rozplecione warkocze młodej kobiety i jej luźną, głęboko wyciętą bluzkę.

— Czy to w takim stroju chodziłaś otwierać drzwi młodemu mężczyźnie?! — rzuciła ostre zapytanie.

Józia zawstydzona spłoniła się.

— Nie wiedziałam przecież, kto dzwoni... — odpowiedziała cicho.

— A któż ci kazał wogóle otwierać?! Czy nie wiesz, że w przyzwoitych domach jest do tego służba!... Chcesz pewnie, żeby się ludzie litowali nad tobą, że robimy z ciebie pokojówkę!...

Józi otworzenie drzwi wydawało się rzeczą tak naturalną i małoznaczącą, że nie mogła pojąć, o co właściwie matce mężowskiej chodzi.

— Ten pan dzwonił już trzy razy... Joasia widać nie słyszała, czy nie było jej w domu, więc myślałam... — próbowała się usprawiedliwiać.

— Już ja wiem, co ty myślisz!... O! wiem, lepiej, niż ci się zdaje!... I, proszę cię, na przyszłość zechciej być mniej troskliwą o moich gości.

— Dobrze. Będę pamiętała.

— A teraz ubierz się porządnie — jeżeli masz coś porządnego w twojej garderobie — i wyjdź do salonu.

Józia zdziwiła się, ale oczy jej pojaśniały.

Zaczynało się już jej przykrzyć to samotnicze życie w odosobnieniu.

Pani Żarnicka pochwyciła odrazu ten błysk uciechy i wytłumaczyła go sobie po swojemu.

— A nie wydekoltuj się jak lafirynda! Nie kokietuj, rozumiesz?!

Na twarz młodej kobiety buchnęły płomienne rumieńce urazy. Oczy zaiskrzyły się gniewnie.

— Mogę wcale nie wyjść!

— Wyjdziesz, jeżeli ci mówię!... Proszę cię, tylko bez fochów!... Ubieraj się!...

Pani Żarnicka z głośnym stukiem zamknęła drzwi za sobą.

— Nie wyjdę! Otóż nie wyjdę! — powtarzała sobie przez zaciśnięte zęby Józia. — Jak ona mnie traktuje!... Jak śmie!... Nie chcę znać jej salonu i jej gości!

Po chwili jednak osłabło gniewne uniesienie. Józia zaczęła się wahać. Pokusa była bardzo silna. Tak się jej chciało zobaczyć kogoś, porozmawiać trochę, rozerwać się — rozweselić!

— Możeby i Konrad miał mi to za złe, gdybym się uparła, więc chyba wyjdę!... Ale ubiorę się starannie i na złość tej starej sekutnicy będę ładnie wyglądała!...

Wyjęła ze szafy niebieską „electricque" suknię z miękkiej, lekkiej wełny, której barwa doskonale harmonizowała z cerą Józi i kolorem jej oczu.

Bluzkę zdobił szeroki, koronkowy kołnierz, z którego szyja wykwitała, jak smukła łodyga białego, delikatnego kwiatu.

Warkocze upięła Józia wysoko, odsłaniając śliczne, małe, różowe konchy uszu i delikatne skronie, leciutko porysowane siatką niebieskich żyłek.

Spojrzała uważnie w lustro i uśmiechnęła się.

— Tak jest i poważnie i do twarzy...

Spięła jeszcze na szyi sznurek blado-różowych, weneckich korali, pamiątkę po matce i z podniesioną śmiało głową podążyła do salonu.

Zdało się, że jaśniej i weselej zrobiło się w tym sztywnym, nieprzytulnym, ponurym salonie, kiedy weszła.

Wybiegło ku niej naprzeciw chciwe, przenikliwe spojrzenie mężczyzny, objęło ją całą i zatrzymało się na ustach ślicznych, świeżych, rozkwitłych, nęcących, złożonych w tej chwili w poważną, pełną godności minkę.

— Pan Łuniewski — moja synowa...

Łuniewski pochylił głowę w głębokim ukłonie i podniósł do ust rękę młodej mężatki.

Józia, nieprzyzwyczajona jeszcze do tego to warzyskiego przywileju mężatek — poczuła z rozpaczą, że się strasznie czerwieni.

Szybko, może za szybko, cofnęła rękę, której przez chwilę dotknęły suche, gorące wargi Łuniewskiego.

Ale on już z najzupełniejszą swobodą wyraził swoją radość z poznania żony Konrada.

Józia odpowiedziała oklepaną, ceremonialną formułą towarzyską i usiadła nieco z boku w cieniu dużego filodendrona, aby łatwiej ukryć nieproszone, kłopotliwe rumieńce i zapanować prędzej nad niewytłumaczonem jakiemś pomieszaniem.

Łuniewski spoglądał na nią nieznacznie, kątami oczu, ale prowadził dalej rozmowę z panią Żarnicką i przekomarzał się wesoło z Lolą.

Tylko gdzieś spodem mózgu wiła się myśl:

— Znowu inna! Przedtem sielankowa, zadumana, polska dziewczyna, teraz „modern", „amerykańska" piękność... Cudna!... Cudna!... I dziecko i kobieta!... I to jest mężatka, żona Konrada Żarnickiego!...

Myśl zaczynała świdrować, jak cienki, ale ostry, trochę kolący drucik.

— Jak dawno się państwo pobrali? — zwrócił się nagle do Józi.

Lola spojrzała na niego zdziwiona. To pytanie nie tylko nie wypływało z poprzedniej rozmowy, ale Łuniewski przerwał sobie zajmujące opowiadanie w pół zdania.

— O! Już przeszło miesiąc! — odpowiedziała spokojnie młoda pani Żarnicka.

Zapanowała już nad chwilowem zakłopotan em i, zasunięta z krzesełkiem poza rozłożyste liście filodendronu, zdążyła zrobić szereg obserwacyi. Spostrzegła, że pan Łuniewski śmiesznie przymruża oczy i w ustach ma coś takiego, że, choć niby poważnie mówi, zdaje się zawsze trochę kpić.

Skonstatowała także, że Lola jest żywo zajęta gościem i albo tego nie ukrywa wcale, albo ukryć nie może.

— Już miesiąc!... — roześmiał się Łuniewski — To dawno! Stara z pani mężatka!... A gdzie odbył się ślub?

— W Krakowie.

— Szkoda, że nie wiedziałem. Byłem wtedy w Krakowie.

— O! Myśmy brali taki cichy, „wojenny" ślub. Nikogo nie było, oprócz mojego ojca.

— No, musieli być jacyś świadkowie?...

— A byli. Zakrystyan i dziadek kościelny — odpowiedziała z prostotą Józia.

Łuniewski, rozbawiony, o mało co nie wybuchnął śmiechem. Brwi pani Żarnickiej zsunęły się, a Lola skrzywiła się lekko.

— I nie zatęskniła pani za paradnym ślubem, za hucznem weselem?

— Ani mi to w głowie było!

Józia hardo jakoś odrzuciła w tył głowę.

Wydało się jej, że Łuniewski chce z niej zażartować, czy też traktuje ją jako dziecko.

To pewnie dlatego, że wczoraj na ulicy...

Rozjarzyły się żywe turkusy złotemi iskrami, a potem pociemniały, jak zwykle, kiedy Józia bywała poirytowana...

Prosto i śmiało spojrzała w twarz Łuniewskiemu, zdając się mu mówić roziskrzonym wzrokiem:

— Co ty sobie myślisz, ty, ironiczny panie! Ty mnie jeszcze nie znasz!...

Była w tem podrażnieniu tak urocznie, niebezpiecznie piękna, że szaro-zielone oczy mężczyzny znieruchomiały w nagłym, niemym, oszałałym zachwycie, a ciało sprężyło się na krótką chwilę, jakby krew warem przebiegła przez żyły.

Trwało to krótko, bardzo krótko, wystarczyło jednak, żeby się Józia znowu zarumieniła — żeby to pochwyciła pani domu i intuicyjnie odczuła Lola.

Niewiadomo, dlaczego umilkli naraz wszyscy i zapanowała kłopotliwa, niemiła cisza, przerwana wreszcie zaproszeniem gospodyni:

— Może przejdziemy do jadalni na podwieczorek...

— — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Józia tego dnia, jak zwykle, mówiła po kolacyi swojej szwagierce „dobranoc", uderzyło ją to, że Lola podała jej tylko końce palców, jak drewno sztywnych.

I to spojrzenie zimne, ostre, odpychające!...

Niedobre przeczucie ścisnęło młodą mężatkę za serce.

Co się stało Loli?! Czyżby i tę jedyną w tym domu życzliwą duszę utracić miała? I dlaczego?!

— O co ona się gniewa na mnie? Co ja jej złego zrobiłam? — trapiła się Józia, rozczesując na noc swoje gęste włosy. — Może to o to, że ten... ten Łuniewski kilka razy tak dziwnie się na mnie popatrzył... Ale ja przecież nie chciałam tego... Później, to ani się spojrzałam, ani odzywałam! Co on mnie obchodzi!... Prawda, że przystojny, dowcipny i dosyć miły, ale to nie mój Konrad, o! nie... Żebym tak więcej śmiałości miała do Loli, tobym jej jutro powiedziała i wytłumaczyła, że nie ma powodu gniewać się na mnie... Tak, powiem jej — koniecznie!... Jeżeli zawiniłam niechcący, to przeproszę — zadecydowała Józia, układając się pod kołdrą.

Tymczasem w jadalni matka i córka pozostały same.

Pani Żarnicka z pod oka przyglądała się Loli, która podparłszy głowę na ręce, siedziała chmurna, zasępiona, z ustami ściągniętemi brzydkim grymasem.

— Lolu!

Panienka podniosła na matkę pytający wzrok.

— Lolu — powtórzyła, ujmując rękę córki w dłonie i spoglądając jej głęboko w oczy. — Czy widziałaś? Zauważyłaś? Wiesz już teraz, jaka jest ta słodka Józieńka... Przekonasz się nareszcie, że twoja matka zna się lepiej na ludziach, aniżeli ty...

Dziewczyna milczała ze spuszczoną głową.

— Ty może myślisz, że to był przypadek z tem otwarciem drzwi? Z pewnością widziała go przez okno i poleciała z rozpuszczonymi włosami, napół ubrana! Bezwstydna!...

— Ona taka piękna, mamo! — wyrzekła bezdźwięcznie Lola.

— Piękna?! Nie przesadzaj!... Dużo jest od niej piękniejszych, ale nie tak bezczelnych, więc nie umieją zwracać na siebie w ten sposób uwagi mężczyzn!

Pani Żarnicka przeszła się kilka kroków po pokoju, potem zwróciła się do córki i pocałowała ją w głowę.

— Idź spać, moje dziecko. Wyśpij się dobrze, żebyś wyglądała ładnie i świeżo. A nie martw się... Już ja potrafię unieszkodliwić tę żmiję. Gorzej z Konradem, bo on się związał z nią. No, ale może i na to znajdzie się jakaś rada.

Lola nie stanęła tym razem w obronie Józi, tak, jak to zwykła była czynić dawniej.

ROZDZIAŁ VII.

Ostrym, przeraźliwie donośnym dźwiękiem zabrzmiał dzwonek, energicznie poruszony ręką przewodniczącej.

— Proszę państwa o spokój! O ciszę! Posiedzenie otwarte! Rozpoczynamy obrady!

Uciszyło się, ale nie zupełnie. Słychać było jeszcze szmer rozmów. Tu i ówdzie z jakiegoś kąta wielkiego, obszernego pokoju, zamienionego teraz na salę obrad, dobiegał cienki, urywany chichot.

Prezesowa Kasztalińska podniosła do oczu swoje „lorgnon", spojrzała na prawo, na lewo, przed siebie. Zadzwoniła jeszcze raz i znowu zawołała — już bardzo głośno i bardzo energicznie:

— Proszę państwa o spokój! Zaczynamy!

Tym razem wezwanie poskutkowało. Zmilkły rozmowy i przycichły śmiechy. Panie przygładziły fałdy sukien i robiły poważne, skupione miny, a panowie — nieliczni dosyć na tem zebraniu — zajmowali z pospiechem miejsca.

Julian Łuniewski usiadł na niskim taburecie, zasunął się w kąt poza krzesłem Loli Żarnickiej i z pod przymrużonych powiek przyglądał się zebranym.

Jego towarzysz, Władek Koszczyc, wkręcił się pomiędzy dwie panny i „emablował" je naprzemian. Z jednej strony miał Lolę, z drugiej panienkę o biało-różowej cerze i bezmyślnych, niebieskich oczach porcelanowej laleczki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szlakiem odwrotu Rosyan.

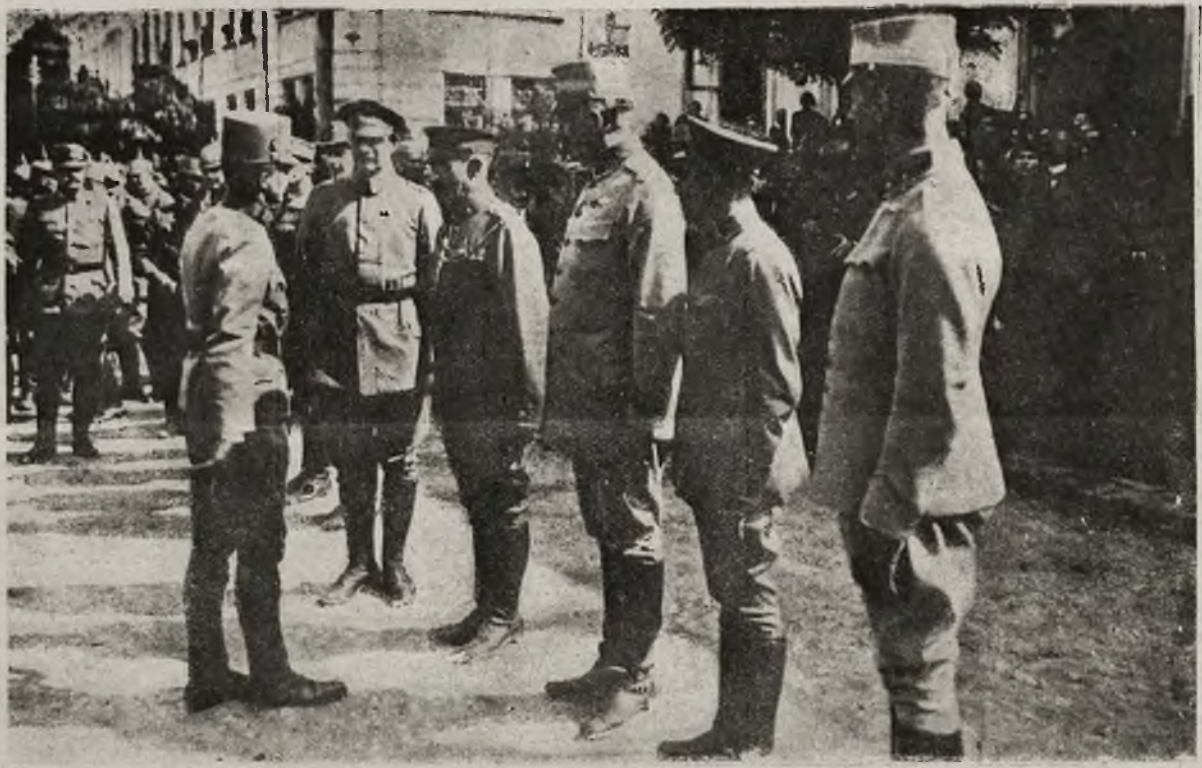
Ostatnia ofenzywa Rosyan skończyła się dla nich bardzo niefortunnie, bo paniczną ich ucieczką nawet z tych powiatów galicyjskich, w których prawie od początku wojny przebywali. Tym razem zaś odwrót swój — pomimo wolnościowych haseł, którym hołduje dziś armia rosyjska — znaczyli Rosyanie gwałtami, rabunkami i zniszczeniem. Niemal wszystkie miasta oswobodzonej Galicyi przeszły przez istne piekło ostatnich walk i rozbestwienia uciekającego nieprzyjaciela. Między innemi ucierpiał znacznie Tarnopol, z którego zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcia już po jego oswobodzeniu.

Odwrót Rosyan z tego miasta opisuje barwnie w „Kuryerze lwowskim" jeden z naocznych świadków:

„Już dnia 19 z. m. dał się zauważyć w mieście popłoch, który potęgując się przez noc, doszedł wprost do paniki w piątek 20 lipca. Wszystkie urzędy pakowały i ładowały na automobile paki z aktami; automobile jak szalone przelatywały ulicami miasta, treny w galopie cofały się w kierunku Podwołoczysk; turkot i krzyk nie do opisania. Koło godziny 5 ukazały się aeroplany nacierającej armii, które zaczęły rzucać na cofające się treny bomby. To doprowadziło panikę do punktu kulminacyjnego. Wojsko kryło się do kamienic, szoferzy i woźnice zostawiali auta i zaprzęgi na ulicach, szukając schronienia w korytarzach domów. Naogół padło przeszło 100 bomb, a atak z krótkiemi przerwami trwał dwie godziny. Sobota 21 lipca zaczęła się nieco spokojniej. Ruch jakby ustawał; ulicami przejeżdżały patrole kozackie i nieliczne spóźnione wozy. Dopiero w południe rozpoczęły się dla mieszkańców chwile straszne, na których wspomnienie dreszcz mrozi.



Śladem odwrotu Rosyan. Angielskie miny, zdobyte przez armie sprzymierzone pod Kozową. (Fot. Bufa).



Śladem odwrotu Rosyan. Cesarz Karol w Tarnopolu rozmawia z przedstawicielami armii hiszpańskiej, szwedzkiej, peruwiańskiej i duńskiej.

Około godziny 1 w południe podpalono koszary przy ulicy Sobieskiego, co było hasłem do ogólnego palenia miasta. Co chwila buchał płomieniem jakiś skład wojskowy, a huki i wstrząśnienia wskazywały, że wysadzono w powietrze elektrownię, magazyny kolejowe, stacyę. W tym czasie padły pierwsze strzały armat austryackich, ostrzeliwujących linię kolejową. Widok ognia podziałał rozbestwiająco na sałdatów. Kozactwo rozpoczęło strzelaninę do uciekających z zagrożonych domów mieszkańców. Zbliżająca się noc napełniała lękiem wszystkich mieszkańców. Już o zmroku słyszało się w rozmaitych stronach miasta wołania o ratunek i jęki. Tłuszcza sałdacka rzuciła się na mieszkania i sklepy. Trzask łamanych żaluzyi sklepowych i wybuchy benzyny, którą podpalano zrabowane magazyny, nie ustawały.

Niszczenie prowadzono wprost po mistrzowsku. Z rozbitego sklepu wynoszono towary na automobile ciężarowe, a następnie oblewano podłogę benzyną i zapalano. Aby zaś ogień nie mógł być zlokalizowany, rzucano nadto kilka bomb piroksylinowych, które, wybuchając, torowały drogę dla ognia aż do dachu. Ogień tak szybko ogarniał nawet dwupiętrowe domy, że ludzie nie uprzedzeni wcale, mieli zaledwie czas uciec z życiem, pozostawiając całe mienie na pastwę ognia i rabunku. Szał palenia objął tylko śródmieście i to najpiękniejsze kamienice. Przy nowo zabudowanej ulicy Trzeciego Maja pozostały zaledwie cztery kamienice, przy ulicy Mickiewicza sterczy wiele szkieletów najpiękniejszych nowych kamienic. Nie oszczędził pożar ulic Tarnowskiego, Ruskiej, Perla, Sokoła i Rynku. Ze wszystkich sklepów, których liczbę wojna nawet podwoiła, ocalała jedna jedyna apteka w Rynku.

Co się tyczy rabunków pomieszkań prywatnych, to te odbywały się przeważnie bez gwałtów. Rabunki odbywały się dniem i nocą ustawicznie. Dwóch, trzech, a często i więcej sałdatów wpadało do mieszkania, wywaliwszy drzwi; jedni zabierali, co wpadło w rękę, drudzy rewidowali obecnym kieszenie, kradnąc zegarki, pierścionki, łańcuszki, pieniądze i wogóle wszystko, co się w kieszeniach znajdowało. Są domy, które dziennie miały po 30 takich wizyt. Wiele osób już po 20 tej wizycie uciekało w ogród, woląc raczej pod gradem kul i pękających nad miastem szrapneli siedzieć pod drzewami, niśli drżeć przed rabującem żołdactwem. Nie rzadkie były wypadki, że sałdat strzelał w pomieszkaniu, lub wywijał ręczną bombą nad przestraszoną ofiarą. Od żydów wprost żądano oznaczonych sum, nawet kilku lub kilkudziesięciu tysięcznych.

Wszystko to trwało aż do świtu dnia 25 lipca, z wyjątkiem krótkiej dwu godzinnej przerwy w poniedziałek 23 lipca, gdy po południu bateryе austryackie bombardowały wieżę kościoła parafialnego i cerkwi nad stawem, gdzie znajdowały się rosyjskie karabiny maszynowe i obserwatorya. We wtorek 24 lipca dziwne wrażenie ogarnęło mieszkańców. Koło godziny 5 po południu zauważono na ulicach



Śladem odwrotu Rosyan: Dworzec kolejowy w Tarnopolu po ustąpieniu Moskali. (Fot. Bufa).





(Fot. chor. Dunaj). Oficerowie powracający z ćwiczeń w Zambrowie **Kadry armii polskiej:** Odpoczynek w obozie ćwiczeń w Zambrowie.

milicyantów, utworzonych przez magistrat w sobotę, którzy po raz pierwszy wyszli na ulicę w towarzystwie eskort sałdackich, dodanych im przez jakiegoś pułkownika, by przeszkadzać rabunkom. Ochrona o tyle spóźniona, że już nie było prawie domu, gdzieby łapa sałdata nie przeszukała rzeczy wartościowych, i krótko trwająca, bo już o godz. 9 wieczór patrole te cofnięto, wskutek silnego natarcia na Tarnopol od strony południowej.

Po silnej kanonadzie artyleryi austryackiej przez całą noc za cofającą się armią rosyjską, zobaczono o godzinie 5 rano w środę 25 lipca pierwsze patrole niemieckie".

Poseł Tertil, który wkrótce po ustąpieniu Rosyan z Tarnopola, zwiedził to miasto, opowiada w „Kuryerze Illustrowanym" swe wrażenia.

Ogarnia mnie — pisze — obraz nędzy i rozpaczy u wjazdu do miasta. Przedsmak zniszczenia daje już widok ulicy Lwowskiej. Na zewnątrz najgorzej przedstawia się zniszczenie miasta przez pożogę. Na domiar nieszczęścia ucierpiało miasto także niemało od pocisków.

Piękny kościół parafialny, pomnikowy zabytek wielkiej obywatelskiej pracy ks. prałata Twardowskiego, jest i wewnątrz i zewnątrz silnie uszkodzony, front i wieża świecą przeraźliwie wybitemi dziurami.

Starożytny kościół Dominikanów ucierpiał nieco na frontowej fasadzie, wewnątrz nieuszkodzony. Mocno uszkodzony od pocisków jest skromny kościółek na Zagrobeli.

Kościół OO. Jezuitów nieuszkodzony, Zakon ucierpiał pod innym względem, przez wywiezienie księży i braciszków w głąb Rosyi.

Z budowli miejskich najbardziej żałować należy zniszczenia miejskiej elektrowni, spalonej doszczętnie.

Kompletnie spalone są: szkoła wydziałowa męska i żeńska (Konarskiego i Jadwigi) przy ulicy Piotra Skargi (względnie Kościuszki), oraz miejska szkoła Orzeszkowej, przy ulicy Kopernika.

Zgorzały również miejskie koszary kawaleryi na Zbaraskiem, baraki na placu Baworowskiego, pawilon oficerski w koszarach Franciszka Józefa i wszystkie budynki miejskie na targowicy. Spalony również miejski budynek, tak zwany magazyn augmentacyjny, w ulicy Kochanowskiego, wreszcie dom dozorcy i pawilon, własność miasta Tarnopola w Gajach Wielkich.

Rządowe budynki, to jest takie, które Moskal „kazionnymi" nazywa, przeważnie ocalały, spalone są tylko i niemal całkiem zwalone koszary tak zwany Stary Zamek na placu Sobieskiego nad Stawem, stajnie krytej ujeżdżalni w ulicy Sokoła, tak zwany „Verpflegsmagazin" z piekarnią i domem



Śladem odwrotu Rosyan: Niemiecki tren na ulicach Tarnopola. (Fot. Rufa).

mieszkalnym i wojskowa stajnia dla chorych koni. Zgorzał także dworzec kolejowy, magazyny i inne budynki na stacyi.

Z innych miast, oswobodzonych obecnie z inwazyi rosyjskiej, bardziej jeszcze ucierpiał Zborów, który przedstawia dziś obraz kompletnego zniszczenia i ruiny. Gdy w jesieni ubiegłego roku wojska austro-węgierskie cofnęły się na linię Meteniów—Zarudzie, pozostał Zborów w obrębie ognia armatniego. Linia bojowa ciągnęła się w oddaleniu czterech kilometrów od miasta, stanowiska rosyjskie opierały się na północ od szosy tarnopolskiej o Złotą Górę, na południe o wzgórza nad Presowcami. — Z poprzedniej inwazyi Zborów wyszedł zupełnie cało; wojska austryackie, opuszczając miasto, zostawiły je nietknięte, jednak jedenastomiesięczny pobyt wojsk rosyjskich, bezpośrednia bliskość frontu, bez władz, a przedewszystkiem opuszczenie miasteczka przez ludność — wszystko to przyczyniło się do zupełnej ruiny. Ostały się tylko domki chłopskie na przedmieściach, zaś w mieście szkoła im. bar. Hirscha, rzeźnia i około sześć domów, na których wprawdzie dachy stoją, jednak tak zniszczone, że trudno je będzie naprawić. Sokół, apteka, starostwo, sąd, obie plebanie i wszystkie domy wzdłuż gościńca tarnopolskiego dziś tylko rozwalonymi murami sterczą.

Zniszczenia dokonał nie ogień i kule, ale ręka żołdactwa rosyjskiego, które drzewo z budynków rozbierało na opał, zaś blachę i żelaziwo wywoziło na sprzedaż do Tarnopola i dalej. Ludność miasta zmalała do kilkudziesięciu rodzin chłopskich, z inteligencyi nikt nie został, zaś z żydów, kilka najbiedniejszych rodzin. Reszta wyemigrowała do Tarnopola, gdyż tu zawsze była bezpieczniejsza i pewniejsza życia i mienia.



Śladem odwrotu Rosyan: Strzaskany pociskami armatnimi rosyjski automobil pancerny na drodze pod Tarnopolem. (Fot. Bufa).





Kadry armii polskiej: Ćwiczenia gimnastyczne piechoty w Zambrowie

Kościół i cerkiew pozostały całe, lecz i one ucierpiały od kul rosyjskich przy odwrocie wojsk w r. 1916.

Nie ocalało jednak przedmieście Kuklińce po drugiej stronie Strypy, gdyż i tu spaliło się kilkadziesiąt domów i budynków gospodarskich. Znajdujące się na terytoryum tej gminy koszary wojskowe uległy podobnemu losowi, jak budynki w Zborowie. Rozebrano je tak, że z budynków tych, będących własnością miasta Zborowa, pozostały tylko na wpół rozwalone ściany.



Śladem odwrotu Rosyan: Rosyjski pociąg z amunicyą, wysadzony w powietrze pod Kozową przez niemiecką artyleryę. (Fot. Bufa).

Przyjaciele Polski na Węgrzech.

Sprawa polska znalazła gorących rzeczników na Węgrzech. Akcya komitatów za wskrzeszeniem niepodległej Polski, liczne przyjazne dla nas głosy, odzywające się w Sejmie węgierskim, były wyrazem tej stałej sympatyi, jaka łączyła oba narody.

Obecnie dla kultywowania tego sojuszu polsko-węgierskiego, z inicyatywy krajowego Związku katolików węgierskich oraz węgierskiej Delegacyi N. K. N. powstał w Budapeszcie „Węgierski Związek Przyjaciół Polski“, który zajął teraz miejsce istniejącego dotąd, acz w skromnych rozmiarach, Klubu polsko-węgierskiego.

Zadaniem Związku jest podtrzymywanie i rozwijanie stosunków Węgier z Polską na polu gospodarczem i intelektualnem, a w razie potrzeby i politycznem; w tym celu stworzono specyalne sekcye. Powstała też osobna sekcya młodzieży. Do związku przystąpił szereg wybitnych osobistości węgierskiego świata politycznego i naukowego.

Ze strony polskiej przybyli na otwarcie: hr. Adam Ronikier z Warszawy imieniem Centrum. Delegowany przez Radę Stanu p. Ludwik Górski skutkiem przesunięcia terminu uroczystości przybyć



Śladem odwrotu Rosyan: Ślady rosyjskiej gospodarki na jednej z pryncypalnych ulic Tarnopola. (Fot. Bufa)

już nie mógł. Imieniem N. K. N. zjawili się dr. Ernest Habicht, członek N. K. N. szef Biura pezydyalnego, oraz dr. Jan Dąbrowski. Podejmował przybyłych Związek katolicki bankietem, na którym w imieniu gospodarzy powitał ich hr. Jan Zichy, b. minister oświaty, prezes Związku, który wzniósł toast na pomyślność odradzającej się Polski z życzeniem umocnienia stosunków między nią a Węgrami. W podobnym duchu przemawiali: ks. biskup Nemes, wiceprezes Związku, poseł Stefan Zsembery, prałat Ernst. Odpowiadali: hr. Ronikier, który podkreślił historyczne węzły, łączące oba narody i wskazał na konieczność stworzenia silnej Polski także z węgierskiego stanowiska, dr. Habicht, który zaznaczył, że naród polski nie zeszedł i nie zejdzie ze swej wytycznej linii w polityce. Dr. Dąbrowski wzniósł w języku węgierskim toast na cześć tych, którzy wspierali Legionistów w czasie pobytu ich na Węgrzech, a zwłaszcza prasy i krajowego Związku katolików, który roztaczał opiekę nad rannymi i ozdrowieńcami. P. T. Stamirowski, węgierski delegat N. K. N. przemawiał, na cześć głównego organizatora „Związku Przyjaciół Polski" posła Zsembery'ego.

Dnia następnego nastąpiło ukonstytuowanie się Związku. Po przemówieniach posła Zsembery'ego, posła Dobieczky'ego, hr. Ronikiera, dr. Habichta i T. Stamirowskiego, dokonano wyboru zarządu. W skład prezydyum honorowego weszli: hr. Juliusz Andrassy, prymas kardynał Csernoch, hr. Jan Zichy, ks. Mikołaj Esterhazy. Kierujący prezes Stefan Zsembery, wiceprezydent poseł Zoltan Hindy,



Przyjaciele Polski na Węgrzech: Z uroczystości otwarcia „Węgierskiego Związku Przyjaciół Polski" w Budapeszcie.

sekretarze: A. Jakab, bar. J. Syntinis. Szef sekcyi literackiej prof. uniw. Komethy, wiceprezes dr. A. Diveky, sekretarz K. Bányai; szef sekcyi gospodarczej poseł Aleksander Dobieczky. Przewodniczący komisyi kontrolującej poseł K. Huszar. Członkami honorowymi mianowano: marszałka koronnego Niemojowskiego, prof. Wł. L. Jaworskiego, ks. A. Lubomirskiego, hr. A. Ronikiera, R. S. Łempickiego, biskupa Bandurskiego, hr. Gołuchowskiego, Zdzisława Tarnowskiego i prezyd. Rutowskiego. Wśród członków widzimy szereg najpoważniejszych polityków wszystkich stronnictw, jak eksc. Borzeviczy, rektor uniw. Mihályfi i rektor politechniki Kovács, ks. Windischgraetz, sekretarze stanu Perenyi i hr. Klebelsberg, hr. Batthyany min. a laterre, hr. Karolyi, prof. uniw. Marczali, prof. uniw. Meszaros, poseł ks. prałat Giesswein, prof. uniw. Concha. Jest więc uzasadniona nadzieja, że Związek rozwinie jak najpomyślniejszą działalność.



Śladem odwrotu Rosyan: Zdobyte pod Tarnopolem miotacze min. (Fot. Bufa)

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

10

– To dobrze, ale, pani Bruchon, raz jeszcze proszę, czuwać trzeba bezustannie i dać mi znać natychmiast, jeżeli pani spostrzeże coś podejrzanego.

– Może pan liczyć na mnie.

– Gdyby zaszła potrzeba, o jakiejkolwiek porze dnia, czy nocy, powiadomić mnie pani musi. Pani wie, gdzie mieszkam?

– Wiem, proszę pana, ale niech pan będzie spokojny... W razie czego, poszlę męża, on się z tem prędko załatwi.

Zapanowało krótkie milczenie, pułkownik widocznie zastanawiał się nad czemś głęboko.

– No, tak – rzekł po chwili – rzecz już postanowiona, a teraz pomówimy o czem innem. Pani wspominała o mężu, czy to pewny człowiek?

– Oh! Proszę pana.

– Czy jest pani zadowolona z niego?

– Zadowolona? Mój Boże. Czyż można być zawsze zadowoloną, kiedy się prowadzi handel w trudnych bardzo warunkach i co kwartał dręczyć się trzeba zebraniem potrzebnej kwoty na opłacenie lokalu.

– Ma pani słuszność.

– Gdyby to człowiek miał chociaż jakieś pewne dochody... coś zabezpieczonego na stare lata – westchnęła żałośnie stara modniarka, patrząc z pod oka na swojego gościa.

– Czy tyle tylko brakuje pani do szczęścia?

– Oh! Mój drogi panie. Jest to marzenie wszystkich moich dni! – zawołała pani Bruchon, wznosząc oczy ku niebu.

Wyraz skupionej uwagi osiadł na twarzy pułkownika.

– Wie pani co, zaczynam się szczerze interesować waszym losem i chętnie uczyniłbym coś, aby zapewnić pani spokojną przyszłość.

– Czy to możliwe, mój panie! – westchnęła stara, patrząc podejrzliwie na pułkownika.

– Cóżby pani powiedziała o człowieku, który postawiłby panią w takiej sytuacyi, iżby wszelkie opłaty lokalu i inne zobowiązania stały się już niepotrzebne?...

– Powiedziałabym, że Opatrzność zesłała mi go – wymówiła z gorącem przekonaniem stara – i wdzięczną mu byłabym do końca życia.

– A coby pani dla niego uczyniła? – badał dalej pułkownik Robert.

– Wszystko! Wszystko, coby tylko zażądał odemnie. Będzie mógł rozporządzać mną, jak swoją rzeczą!

– Tego mi właśnie potrzeba. – wyrzekł poważnie pułkownik – A więc proszę mnie słuchać uważnie, pani Bruchon. Jeżeli pani zechce, przed upływem miesiąca ten dom, zamieszkany przez was, stać się może własnością pani – a oprócz tego gotów jestem wyznaczyć małą rentę, która pozwoli pani i jej mężowi żyć nadal bez troski.

Pani Bruchon przetarła oczy kilkakrotnie, jakgdyby zbudzona ze snu, w którego rzeczywistość uwierzyć nie mogła.

– Nie! Nie! To niemożliwe! – szepnęła – toby było za piękne, nieprawdopodobne!

– A jednak stanie się rzeczywistością, jak tylko pani zechce – nalegał pułkownik. – To zależy jedynie od dobrej woli pani!

– Więc cóż mam uczynić? – zapytała modniarka, patrząc ze zdumieniem na pułkownika.

– Prawie nic... tylko, ostrzegam, będzie pani musiała użyć do pomocy swojego męża.

– Mojego męża? – powtórzyła z przestrachem kobieta.

– Tak. Dlaczego ta myśl zdaje się nie podobać pani?

Odcień rozpaczliwego żalu i rozczarowania przeszedł po okrągłej twarzy modniarki.

– Zdaje się, że wobec tego będę zmuszona pożegnać się z nadziejami swojemi. – wyrzekła boleśnie – Mój mąż! Otóż tu leży cała przeszkoda.

– Dlaczego?

– On, panie, jest bardzo uczciwym człowiekiem – odparła z żalem stara – i wiem, że nie zechce się wmieszać w rzecz, choćby trochę podejrzaną.

– Sądzi pani, że odmówi?

– Lękam się o to.

Pułkownik uśmiechnął się niedbale i postąpił ku drzwiom.

– Żałuję bardzo wobec tego, że nie dojdziemy do porozumienia. – odparł zimno – Podaję pani sposobność do nagłego wzbogacenia się, a nie żądam wzamian, abyście zamordowali lub okradli kogo.

– Ale o cóż właściwie chodzi, mój panie? – szepnęła pani Bruchon, podchodząc bliżej do pułkownika, w zamiarze zatrzymania go, gdyby objawił chęć odejścia.

– Poco mam mówić, skoro odmawiacie mi, nie oglądając się na przyszłość?

– Niech pan mówi, zobaczymy jeszcze.

– Nie... pozostawmy to już... może się namyślicie. Jedno tylko. Zdaje mi się, że Bruchon zajęty jest jako woźny i dozorca w biurach ministerstwa marynarki?

– Tak jest.

– I jemu to powierzają odbiór depesz z poczty na ulicy Rousseau, nieprawdaż?

– Tak! Zdaje mi się, że należy to do niego. – odpowiedziała pani Bruchon, nie rozumiejąc jeszcze, do czego zmierza pułkownik.

– To dobrze. Mówiono mi już o tem. Ale skończmy już tę rozmowę. Odchodzę i nie mogę pani powiedzieć, kiedy powrócę. Ale proszę pamiętać o wszystkich moich zleceniach. Niech pani czuwa nad Gilbertą, a co do tej propozycyi, którą uczyniłem przed chwilą, to, jeżeli się pani namyśli jeszcze i zechce ze mną porozumieć, to pani wie, gdzie mnie szukać.

Mówiąc to, pułkownik wyszedł spiesznie, pozostawiając panią Bruchon tak zgnębioną i wzruszoną, iż nie była w stanie pożegnać go nawet. Z ciężkiem westchnieniem, nie czekając nawet, aby zamknęły się za gościem drzwi, opadła bezwładnie na krzesło i pogrążyła się w myślach.

Podobna propozycya zasługiwała rzeczywiście na głębokie zastanowienie. Pani Bruchon nie należała do tych kobiet, któreby takiej okoliczności wykorzystać nie chciały. Odejście pułkownika, bez ostatecznego porozumienia się z nią w tym kierunku, nie uważała za rzecz decydującą jeszcze i postanowiła powrócić jeszcze do tej wiele obiecującej rozmowy.

XIII.

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany w naprężeniu przez Olivię i zaproszonych gości pułkownika Roberta.

Była to sobota i był to dzień, wybrany przez niego, do otwarcia salonów swoich w willi, znajdującej się przy polach Elizejskich. Tak, jak to słusznie przewidywała młoda kobieta, dobijano się powszechnie o zaproszenia na ten wieczór, o którym już od pewnego czasu mówił cały Paryż.

W tem entuzyastycznem pragnieniu należenia do gości pułkownika Robert, mieściło się wiele przyczyn, zrozumiałych dla tych, którzy znają publiczność tego wielkiego miasta, żądną zawsze sensacyi i nowości.

Pułkownik od dwóch miesięcy zaledwie dał się tu poznać, i to jeszcze niedostatecznie, aby zaspokoić ogólną ciekawość. Krążyły przytem przeróżne wieści o tym podróżniku egzotycznym, przybywającym do Francyi z kolosalnym, jak twierdzili niektórzy, majątkiem. Zresztą i powierzchowność jego budziła uwagę i sympatyę, szczególnie w sferze kobiet, zachwycających się oryginalnością jego ciemnej cery i blaskiem niezwykłym oczu, o surowym, poważnym wyrazie.

Olivia i baron d'Esclairs na kilka dni jeszcze przed tym wieczorem obsaczeni byli poprostu znajomymi, którzy pragnęli być wprowadzeni na salony pułkownika Robert.

W tym tłumie, dobijającym się o tę rozrywkę, przeważały kobiety, znane w świecie paryskim z ekscentryczności i lekkomyślności, ale były i panie z lepszego świata, zwabione tu własną ciekawością i pragnieniem ujrzenia tego, czego, jak im się zdawało, Paryż jeszcze nie miał sposobności oglądać.

Około godziny dziewiątej goście tłumnie nadjeżdżać zaczęli.

Noc była pogodna i ciepła. Wielkie, kolorowe lampiony elektryczne oświetlały ulicę prowadzącą do willi, ogród cały gorzał przepychem świateł, a w głębi, na tle ciemnem drzew, odcinała się wspaniale willa, również rzęsiście oświetlona.

W godzinę niespełna salony zostały szczelnie wypełnione. Po całej willi przewijał się tłum elegancki i rozbawiony i w pokojach parterowych, bogato ozdobionych wschodniemi makatami i na pierwszem piętrze, gdzie mieścił się główny, olbrzymi salon recepcyjny i w ogrodzie, gdzie wspaniałe, egzotyczne altany, przybrane najcudniejszymi kwiatami, zapraszały gości do spoczynku, lub odosobnionej rozmowy.

Olivia od pierwszej chwili stała się królową zabawy.

Przyjęła chętnie na siebie rolę gospodyni domu, wywiązując się z niej z wdziękiem czarującym, który w tem otoczeniu mógł uchodzić za wrodzoną dystynkcyę i znajomość form towarzyskich. Umiała przytem jeszcze wybrać na ten wieczór toaletę skromną a gustowną, która podnosiła jej wspaniałą urodę i harmonijne linie smukłej figury.

Zupełny sukces tej zabawy był poniekąd jej dziełem. Promieniejąca zadowoleniem i radością szła od jednych gości do drugich, z miłym uśmiechem twarzy, wydając po drodze rozkazy służbie, uwijającej się zręcznie, ubranej w ciemne liberye. Widziano ją wszędzie, zwracającą baczną uwagę na wszystko, co się wokoło niej działo, jak gdyby rzeczywiście była panią tego mieszkania.

Pułkownik Robert towarzyszył jej prawie ciągle. W pewnej chwili spotkali się w dolnym buduarze, którego szklane drzwi wychodziły prosto na ogród.

Pułkownik nagłym ruchem ujął jej obydwie ręce, starając się ją przyciągnąć do siebie.

Olivia broniła się lekko, patrząc mu w oczy i uśmiechając się zalotnie.

– Ileż wdzięczności winienem pani! – szepnął gorąco – Otrzymaliśmy nadspodziewany wynik i przypisuję go tylko pani.

– Mnie? Może w pewnej mierze tylko, tego nie zaprzeczam, ale pan jest tym głównym magnesem, który przyciągnął tutaj tych wszystkich ludzi.

– Mniejsza zresztą o to! – zawołał pułkownik – Wiem tylko w tej chwili to jedno, że pani jest czarująco piękną, a ja dałbym wszystko, co posiadam...

– Pan staje się szalony!

– Kocham panią!

– Nie chcę słuchać słów podobnych! – wyrzekła Olivia, siląc się na surowość.

– Niech pani nie będzie okrutną!

– Jeżeli pan nie przestanie, to odchodzę w tej chwili. Może nas kto usłyszeć! – dodała, obejmując go wyzywającem spojrzeniem – Baron może zaraz powrócić!

Pułkownik lekceważąco wzruszył ramionami.

– Baron?! – odparł ironicznie – Naprawdę, pani jest zanadto dobrą! Cóż on robi obecnie? Gdzież jest, kiedy wszystkie jego myśli powinny być tylko zwrócone do pani!

Olivia przyłożyła palec do ust, nakazując mu milczenie.

– Nie mówmy tego tak lekko! – rzekła poważnie – Baron zajmuje się obecnie czemś ważniejszem i nie może myśleć o mnie.

– Pani żartuje?

– Wcale nie.

– Gdzież jest właściwie?

– W ministeryum marynarki.

– Oh! Jakoś długo tam bawi.

– Niech pan pamięta, że dzisiaj nadejść ma poczta z Indyi. Depesze oczekiwane są może w tej chwili w rękach ministra i, jeżeli przyniosą oficyalną wiadomość o śmierci tego Bonnet'a z Indyi, to baronowi może niespodziewanie spaść z nieba majątek milionowy. Zrozumie pan, że nad tem zastanowić się i poświęcić trochę czasu warto!

Pułkownik nie odpowiedział zaraz na te słowa; czoło jego zachmurzyło się nagle, a w oczach przebiegł błysk niespokojny. Ale trwało to tylko kilka sekund zaledwie i prawie natychmiast twarz jego przybrała dawny, pogodny wyraz.

– A zresztą, co nas to wszystko obchodzić może! – rzekł ze swobodną obojętnością – Te miliony z sukcesyi pana Bonnet przybędą za późno! No, pani Olivio, niech pani nie będzie dla mnie tak obojętną i nie doprowadza mnie do rozpaczy! Niech pani mi pozwoli powtórzyć raz jeszcze, że kocham panią, że dla pani gotów jestem przezwyciężyć wszystko i że jestem dosyć bogaty, aby rywalizować z problematycznymi milionami, oczekiwanymi z Indyi.

– Ah! Jakiż pan naglący! – wyrzekła łagodnie młoda kobieta, uwalniając się z uścisku rąk pułkownika.

– Niech się pani nie waha, pani Olivio...

– Czego pan żąda odemnie?

— Niech mi pani powie, że nie jestem ci obojętny!

— Nigdy nie można być pewną takich rzeczy.

— Jaka pani niedobra! Nie potrafi mnie pani jednak odtrącić od siebie... Niech pani przynajmniej przyjmie ten upominek odemnie... Proszę nie odmawiać... to pierścień, pochodzący z Indyi. Jest w nim dosyć duży dyament, który ładnie ozdobi wysmukłą rękę pani. Chcę, aby go pani przyjęła jako zadatek mojej miłości i na znak przyzwolenia... Niech pani nie odmawia, błagam, a jeżeli pani chcieć będzie...

Pułkownik ujął rękę młodej kobiety i wsunął na jej palec wspaniały pierścień, który ściągnął szybko ze swojej ręki. Olivia nie czyniła żadnego oporu, a kiedy podniosła oczy na pułkownika, błyszczał w nich płomień żywego zadowolenia.

— Dziękuję pani! — szepnął pułkownik, okrywając jej rękę gorącymi pocałunkami.

— Co pan robi? — wymówiła ze wzruszeniem młoda kobieta, blednąc lekko.

— Jest pani najbardziej czarującą istotą na świecie! — odparł w gorączkowem podnieceniu pułkownik.

— Niech mi pan pozwoli oddalić się.

— Ale zobaczę panią wkrótce? Przyrzekasz mi to, Olivio?

— Zobaczymy! Rzucił pan niepokój do mojej duszy i czynię sobie wyrzuty za moją słabość.

Słowa te młoda kobieta rzuciła, odchodząc już, ale towarzyszyło im tak serdeczne spojrzenie, że nie mogło wpłynąć oziębiająco na żadnego mężczyznę.

— Do widzenia więc wkrótce! — zawołał za nią pułkownik.

— Tak, tak, do widzenia! — odpowiedziała — Ale niech pan teraz nie idzie za mną, a przedewszystkiem, niech pan czuwa nad sobą, aby się nie zdradzić!

Po chwili zginęła w tłumie, który się stawał coraz liczniejszy i przez który przecisnąć się przychodziło z trudnością. Odurzające gorąco parowało na salach, zlewając się z silnym zapachem perfum i kwiatów, rozstawionych obficie.

Jednakże wszyscy znajomi i przyjaciele barona d'Esclairs zdawali się być coraz bardziej zainteresowani przedłużającą się nieobecnością jego. Wiele zaś kobiet, zaproszonych specyalnie przez niego, zdradzało żywe niezadowolenie, bo przyszły tu w nadziei, że baron przedstawi je osobiście gospodarzowi domu, którego nie znały wcale. Tysiące pytań krzyżowało się; zapytywano Olivię, odpowiadającą wymijająco, a kiedy nadeszła godzina jedenasta, zaczęto się poważnie niepokoić nieobecnością barona.

Młoda kobieta sama była zainteresowana silnie, nie domyślając się, jakie wydarzenie mogło tak długo zatrzymać jej przyjaciela i, niespokojna, często spoglądała ku drzwiom salonu. Ale baron d'Esclairs dalekim był w tej chwili myślą od zabawy, czekającej go w willi pułkownika.

Znajdował się on w biurach ministerstwa marynarki, gdzie znał pewnego wyższego urzędnika, któremu powierzył swoją sprawę. Opowiedział mu wszystko z całą szczerością, dodając, że dzisiejsza przesyłka z Indyi mogła zawierać duplikaty aktów, wykradzionych niegdyś w Marsylii, i otrzymał od owego urzędnika pozwolenie asystowania przy rozdzielaniu poczty, której oczekiwał z gorączkową niecierpliwością.

Przyjaciel jego chętnie przychylił się do jego prośby i, około godziny ósmej dnia tego, baron stawił się na ulicy Royale.

Wiedziano, że pociąg, wiozący korespondencye z Indyi, miał nadejść na dworzec w Paryżu o godzinie siódmej; wysłano więc z ulicy Rousseau dozorcę do administracyi poczty w celu odebrania depesz, nadesłanych do ministerstwa marynarki i dozorca ten oczekiwany był w każdej chwili.

Jednakże minęła już dziewiąta, a woźnego nie było jeszcze. Baron niecierpliwił się. Przyjaciel jego skłonił go do zapalenia cygara, ale pomimo to zdenerwowany był i niespokojny. Co parę minut wstawał z fotela i szedł na schody, nadsłuchiwać kroków powracającego i za każdym razem oczekiwało go przykre rozczarowanie.

— Czy to opóźnienie nie wydaje ci się dziwnem? — zapytał wkońcu naczelnika biura, który siedział spokojny i niewzruszony, przyzwyczajony widocznie do zwłok podobnych — Musiało się coś przydarzyć!

— A cóżby mogło się wydarzyć, mój kochany? — odparł z flegmą urzędnik.

— Czy jesteś pewnym człowieka, którego wysłałeś do administracyi poczty?

— Oh! Tak! To Bruchon, chłopak porządny i nieskazitelnego prowadzenia. Powiadają, że lubi niekiedy wypić za dużo, ale to mu się jeszcze nigdy w służbie nie przytrafiło.

— Ale teraz już noc nadchodzi, może być napadnięty.

— Napadnięty? — uśmiechnął się naczelnik — W samem centrum miasta?

— Podobne wypadki miały już miejsce.

— Ale nie o tej godzinie — jest dopiero po dziewiątej i nie w tej porze roku. A zresztą w jakim celu? Aby zabrać kilka dokumentów urzędowych. Mój kochany, niepotrzebnie się alarmujesz i zajmujesz tak szalonemi przypuszczeniami.

Baron d'Esclairs przesunął ręką po czole zgnębionym ruchem.

— Tak, masz słuszność! Szalone myśli chodzą mi po głowie i gotów jestem się rozchorować, jeżeli ten stan potrwa dłużej. Bo ty nie zdajesz sobie sprawy z ważności tej chwili. Od depesz, znajdujących się w torbie tego człowieka, zależy nie tylko majątek mój, ale i życie.

— Życie twoje? — zawołał z zdziwieniem naczelnik — Cóż to ma znaczyć u dyabła! Czy nie mógłbyś mi tego wytłumaczyć?

Baron nie odpowiedział, tylko skoczył ku drzwiom, otworzył je szybko i stanął na schodach. Zdawało mu się raz jeszcze, że go z dołu dobiega odgłos kroków. Ale i tym razem powrócił jeszcze bardziej zgnębiony i zawiedziony w swojej nadziei.

Był tak przybity i drżący, że przyjaciel jego nie nalegał już na wyjaśnienie poprzednich jego słów i wsunąwszy się wygodnie w duży fotel, zapalił cygaro, aby skrócić czas oczekiwania. Tymczasem wybiła godzina dziesiąta, potem wpół do jedenastej, a posłaniec nie wracał. Naczelnik już sam zaczął się lekko niepokoić.

W pewnej chwili wstał i nacisnął guzik od dzwonka elektrycznego.

Stary służący wbiegł natychmiast, pytając o rozkazy.

— Michale — rzekł naczelnik — czy jesteś sam w przedpokoju?

— Nie, proszę pana naczelnika — odpowiedział zapytany — jest oprócz mnie jeszcze Franciszek.

— Bruchon nie powrócił jeszcze?

— Jeszcze nie.

— To dziwne. Bruchon jest bardzo punktualny i służbisty. Nie wiem jak sobie wytłumaczyć to opóźnienie.

— Może pociąg nadszedł ze spóźnieniem, panie naczelniku?

— Bylibyśmy o tem uprzedzeni. Powiedzno Michale, czy nie zauważyłeś nic anormalnego w zachowaniu się Bruchon'a. Mówiono mi, że lubi się czasem upijać... Czyżby przypadkiem dziś wieczór...

— Co do tego, panie naczelniku... — zaczął stary służący, wahając się.

— No, mów, chcę wiedzieć.

— A więc, skoro pan naczelnik tego żąda, to przyznać muszę, że dzisiaj Bruchon nie był całkiem trzeźwy, zauważyłem to zaraz.

— Teraz nie dziwię się niczemu. — odparł urzędnik — Posłuchaj mnie, Michale, musisz się natychmiast udać na ulicę Rousseau. Zapytasz się czy pociąg nadszedł i czy widziano Bruchon'a. Cokolwiek byś się dowiedział powrócisz tu zaraz powiadomić mnie o tem, co zaszło. Idź już!

Służący skłonił się w milczeniu i wyszedł spiesznie wykonać rozkaz otrzymany.

Biła godzina jedenasta, kiedy powrócił.

— No i cóż? — zapytał niespokojnie naczelnik, zaledwie wszedł do gabinetu — Czy pociąg przyszedł?

— O godzinie siódmej.

— A Bruchon?

— Był obecny w chwili rozdawania poczty

— I oddano mu depesze?

— Tak jest, panie naczelniku.

— I cóż się z nim następnie stało?

— Nie można się było niczego dowiedzieć ponad to, że opuścił gmach pocztowy przed ósmą, zabrawszy ze sobą torbę z depeszami.

Zapanowało krótkie milczenie. Twarz naczelnika pokryła się chmurą niepokoju i zamyślenia.

— Możesz odejść Michale — wyrzekł po chwili — nie jesteś mi już potrzebny.

— Widzisz więc, że miałem słuszne powody do obaw. — odezwał się baron po wyjściu służącego.

— Tak jest — odparł naczelnik. — To coś nienaturalnego w każdym razie.

— Jest ktoś, któremu zależy na usunięciu oficyalnych aktów, sprawdzających śmierć Bonneta i odwrócenie sukcesyi po nim od prawdziwych spadkobierców. Ten Bruchon musiał być przekupiony i wspólnictwo jego w ukradzeniu tych papierów musiało dosyć kosztować tego, kto tą akcyą kierował.

Naczelnik potrząsnął głową w zamyśleniu.

— Wszystko jest możliwe — wyrzekł poważnie — ale wyznać ci muszę, że pomimo pozorów, świadczących przeciw niemu, nie mogę uwierzyć, aby Bruchon był winnym.

— Jednakże sam fakt.

— Mógł być nietrzeźwym i dał się zapewne pociągnąć do jakiego szynku i bardzo być może, że w tej chwili, rozciągnięty na ławce, spi najspokojniej, mając przy sobie nienaruszoną torbę z depeszami.

— Gdyby to było prawdą! — zawołał baron z przebłyskiem nadziei w oczach.

— Poślę więc kogoś do jego mieszkania i jeżeli powróci tej nocy...

Naczelnik nie dokończył już. W przedpokoju rozległ się nagle hałas i gwar niezwykły kilku podniesionych głosów.

— To on! To Bruchon! — szepnął baron.

Drzwi otworzyły się natychmiast i na progu stanął Bruchon blady, zmieniony, z wyrazem silnego przygnębienia na twarzy. Ubranie jego podarte, a u boku wisiała torba, splamiona błotem i otwarta.

Z piersi barona wybiegł okrzyk rozpaczy i bezsilnej wściekłości.

— Okradziony!... Ten człowiek został okradziony! — zawołał, przyskakując do nieszczęśliwego i szarpiąc go brutalnie za ramię.

Pospieszono natychmiast zrewidować staranie torbę i skonstatowano, że oczekiwane duplikaty z Indyi zostały wykradzione.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Oto, jaki był przebieg tego całego zajścia.

Ilekroć Bruchon miał nocną służbę w ministerstwie marynarki, spędzał zazwyczaj cały dzień w Belleville i po wcześniejszym obiedzie, około godziny piątej udawał się na ulicę Royal, dokąd przybywał po szóstej.

Dnia tego program jego zwykły nie został w niczem zmieniony. Stara Bruchon była w wyjątkowo dobrym humorze. Na dzień przedtem, jak mówiła, zakończyła jakiś korzystny interes i na tę intencyę przygotowała dla męża ulubioną przez niego potrawę, kiełbasę z kapustą, do której dołączyła butelkę starego burgunda.

Mama Bruchon umiała świetnie przyrządzać kapustę i mąż jej zawczasu cieszył się na tę ucztę.

Byłby wolał oblać ją piwem, ale pani Bruchon nie lubiła go i Bruchon musiał się zgodzić na wino.

W największej zgodzie i wesołem usposobieniu małżonkowie usiedli do stołu o godzinie czwartej. Przejmujący zapach rozchodził się po całem mieszkaniu, na stole nakrytym świeżym obrusem, dymił się olbrzymi półmisek kapusty, obłożony zwojem nęcącej kiełbasy, obok niego zaś stała butelka wina, pokryta grubą warstwą pyłu.

Bruchon zabrał się do jedzenia i picia z apetytem, jednakże uważał na siebie. Myślał ciągle o służbie nocnej, która go czekała i chciał ją objąć w stanie trzeźwym i przytomnym.

Ale stara Bruchon była tego dnia tak uprzedzająca dla swojego męża, tak dbała, aby jego kieliszek nie był nigdy próżny, że Bruchon zaczął się sprzeciwiać jej dobrym chęciom.

A przytem opowiadała mu tak przyjemne i nieprzewidziane rzeczy.

— Wiesz, Bruchon — mówiła, dobywając z szafki drugą butelkę wina — ukrywałam dotąd przed tobą właściwy stan naszych interesów, nie chcąc cię łudzić, ale teraz, kiedy już jestem upewniona pod tym względem, powiem ci wszystko.

— Co takiego? — zapytał Bruchon, uśmiechając się szeroko.

— Uzbierałam trochę grosza, oszczędzając na wszystkiem, a przytem w ostatnich czasach, dzięki moim klientkom, sklep mój modniarski rozwinął się dosyć pomyślnie, tak, że wkrótce nadejdzie chwila, gdzie już będziemy mogli żyć jedynie z dochodów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Helena Miłowska.

Jedna z najznakomitszych gwiazd na horyzoncie polskiej operetki, pani Helena Miłowska została stale zaangażowaną dla ludowej sceny krakowskiej. Niepospolity talent artystki, świetny głos, wdzięk i urok



Helena Miłowska.

są walorami, uznanymi oddawna w całej prasie polskiej.

Pani Miłowska daje wszelkie gwarancye, że operetka krakowska stanie na poziomie scen zagranicznych tego rodzaju.

Z tygodnia.

Minister francuski o Polsce.

W Petersburgu bawił francuski minister Thomas, którego podejmował polski klub narodowy. Obowiązki gospodarza pełnił Zyg. hr. Wielopolski, który wygłosił mowę powitalną. Po zapewnieniach o braterstwie francusko polskiem, życzliwości Francyi dla Polski, więzach, łączących Polskę z Francyą w przeszłości, zrozumieniu równowagi europejskiej, które Napoleonowi podyktowało słowa, że „wolna Polska jest armią francuską nad brzegami Wisły“, Thomas odpowiadał obszernie i oświadczył między innemi:

„W imieniu rządu francuskiego, w imieniu całego narodu francuskiego“, że chce „niepodległości siły i wielkości Polski“. Dodał również, że uważa sprawę polską za sprawę europejską, międzynarodową. Najważniejsze jest to, co minister Thomas powiedział o armii polskiej, którą miano tworzyć w Rosyi. Thomas uważa ją za „jeden z realistycznych wysiłków polityki polskiej“.

„Czują oni (chcący armii) i mniemam, że jest to wskazanie polityczne — że niepodległość Polski nie będzie stworzona dotknięciem różdżki czarodziejskiej, że będzie wynikiem wysiłków, przeprowadzonych wśród trudnych warunków Europy w chwili obecnej, że pokój nie będzie podpisany w ciągu kilku dni przy jednym stole, ale że będzie może wynikiem wewnętrznych wstrząśnień, wielkich ruchów opinii publicznej, może nawet nowych konfliktów pomiędzy narodami i że dla tego wszystkiego, jeżeli Polska chce żyć, musi kontynuować wysiłek, jaki czyniła przez szereg prób zbrojnych, wysiłek niezbędny, ażeby być gotową, mieć swoją armię, swój przemysł, swój handel, to znaczy wszystkie czynniki narodu, które mu pozwalają w chwili rokowań wystąpić, jako naród wolny i niepodległy“.

Ulgi dla jeńców Polaków w Rosyi.

Jak donosi wychodzące w Moskwie „Echo Polskie“, rząd tymczasowy zatwierdził następujące przepisy o ulgach dla jeńców Polaków w Rosyi:

1) Jeńcom wojennym Polakom, znajdującym się w koncentracyjnych obozach i na rozmaitego rodzaju robotach, przyznaje się prawo wyboru przed stawicieli, którzy będą się porozumiewać z odnośnymi naczelnikami wojskowymi (woinskimi) i innemi osobami z komendy.

2) Przyznaje im się dalej prawo mieć upełnomocnionych delegatów do udziału w rozdziale i wysyłaniu korespondencyi i posyłek.

3) Jeńcom wojennym Polakom, będącym na robotach, pozwala się mieć odpowiednich kucharzów ze swego grona, dla przygotowania strawy.

4) W miejscach, gdzie się znajdują jeńcy wojenni Polacy, powinien być zarówno lekarski, jak sanitarny nadzór, powierzony osobom odnośnych zawodów w miarę możności i z pośród jeńców wojennych Polaków.

5) Jeńcom wojennym Polakom przyznaje się prawo wzajemnego porozumiewania się, dokonywania koniecznych zakupów na miejscowych targach, a także, w miarę możności, bardziej szerokiego korzystania z przechadzek poza obozem, pod odpowiednim nadzorem.

6) Tymże jeńcom pozwala się dalej na otrzymywanie i czytanie książek peryodycznych, dopuszczanych w Rosyi, z prawem zakładania bibliotek.

7) Jeńcom wojennym Polakom zezwala się prowadzić korespondencyę w polskim języku z polskiemi organizacyami społecznemi i osobami prywatnemi, nie wyłączając jeńców wojennych Polaków w innych obozach, pod warunkiem przestrzegania ustanowionych prawideł wojennej cenzury.

8) Wszystkim jeńcom wojennym Polakom przyznaje się prawo uczestniczenia bez przeszkód w nabożeństwach, a także dozwala się dopuszczenie osób duchownych, celem zaspakajania religijnych potrzeb jeńców w obozach i innych miejscach ich pobytu: pod warunkiem odpowiedniego nadzoru ze strony miejscowych władz wojskowych.

9) Jeńcom wojennym Polakom dozwala się za pozwoleniem dowodzącego wojskami zakładać kasy wzajemnej pomocy.

10) Wojennym jeńcom Polakom następującej kategoryi, za specyalnem zezwoleniem w każdym specyalnym wypadku głównego zarządu sztabu generalnego i za zgodą dowodzącego wojskami okręgu, przyznaje się prawo mieszkania w domach prywatnych, na podstawie poręczenia centralnego wydziału polskich organizacyi (Rady Zjazdów) lub zasługujących na zaufanie osób prywatnych, po złożeniu pisemnej deklaracyi, iż jeniec wyrzeka się zamiaru ucieczki:

a) inwalidom i chorym;

b) oficerom i osobom intelligentnych zawodów z pośród jednorocznych ochotników i

c) innym osobom innych kategoryi w wypadkach zasługujących na uwzględnienie.

11) Wszystkim wymienionym w ust. 10 osobom przyznaje się prawo zajmowania się wszelką pracą, odpowiadającą ich przygotowaniu i zawodowi, w szczególności pozwala się im pracować w polskich organizacyach pomocy ofiarom wojny.

12) Zezwala się za zgodą dowodzącego wojskami okręgu, na prośbę odnośnych organizacyi, na przeniesienia jeńców Polaków z jednych miejsc osadzenia do innych, a także wspólne pomieszczenie braci i innych bliskich krewnych.

13) Przedstawicielom polskich organizacyi na odpowiedzialność Centralnego wydziału, wydaje główny zarząd sztabu generalnego w celu zaznajomienia się z warunkami życia jeńców wojennych Polaków i okazania im materyalnej pomocy, imienne świadectwa (glejty) na prawo odwiedzenia miejsc osadzenia wymienionych jeńców wojennych, za zgodą co do tego dowodzącego wojskami okręgu.

14) Jeńcom wojennym Polakom przyznaje się prawo zawierania związków małżeńskich na podstawie istniejących w tym względzie ogólnych prawideł, odnoszących się do jeńców Słowian wszelkiej narodowości.

Cesarz w sprawie oswobodzonych obszarów.

Poseł Romańczuk wniósł po odbiciu Galicyi wschodniej i Bukowiny imieniem klubu ukraińskiego do kancelaryi wojskowej cesarza prośbę telegraficzną o zarządzenie względnego postępowania z ludnością Galicyi wschodniej.

Na prośbę tę wysłała wojskowa kancelarya cesarska pod adresem posła Romańczuka następującą odpowiedź:

„Zaledwie rozpoczęła się nasza ofenzywa w Galicyi wschodniej, raczył Jego ces. król. apostolska Mość rozkazać, by z ludnością odzyskanych krajów obchodzono się życzliwie.

Dnia 30 lipca podczas podróży Jego ces. król. apostolskiej Mości w Galicyi wysłano następujący telegram do naczelnej komendy armii:

„Jego ces. król. apostolska Mość raczył z łaski zarządzić, że na odzyskanych obszarach Galicyi i Bukowiny wyroków, wydanych na podstawie wyjątkowych praw wojennych, nie należy wykonywać bez przesłuchania i zasądzenia przez sąd; że ludność i pod innymi względami chronić należy przed aktami gwałtu i że obchodzić się z nią należy w ogólności życzliwie.

Na przyszłość należy wszystkie wyroki śmierci, wydane w armii w polu przedkładać do zatwierdzenia naczelnej komendzie armii“.

Rosyjski pułk kobiecy w bitwie.

Jak donosi „Temps“ z Petersburga, rosyjski pułk kobiecy otrzymał pod Smorgoniami chrzest ogniowy. Komendantka pułku Boczkarewa i adjutantka Skrydłowa zostały zranione, równie jak 150 kombatantek. Poległo dwadzieścia, do niewoli dostało się ośm. Batalion kobiecy ruszył do boju w chwili, gdy sasiedni pułk męski uciekł. Kobiety odważnie poszły do ataku i wzięły do niewoli stu szeregowców i dwóch oficerów. Jeńcy dowiedziawszy się, że zostali wzięci do niewoli przez kobiety, byli przygnębieni.

Kierenski w Stanisławowie.

W korespondencyi ze Stanisławowa sprawozdawcy wojennego A. Höllriegela, umieszczonej w „Zeit“ za zezwoleniem wojennej kwatery prasowej, znajduje się następujący opis pobytu Kierenskiego w Stanisławowie:

Po południu dnia 5 lipca ulicami Stanisławowa posuwał się wojskowy pochód pogrzebowy z trumną poległego oficera. Samochód, pokryty kurzem, nadjechał z przeciwnej strony i zatrzymał się. Mężczyzna w pospolitym mundurze szeregowca wysiadł z samochodu — dziwny człowiek, z ogoloną twarzą, o rysach ostrych, jak Amerykanin. Za nim stali z respektem generałowie w złocistych mundurach. Owym człowiekiem w mundurze szeregowca był Kierenski. Zbliżył się do trumny, usunął jednego z dźwigających ją i niósł trumnę poległego bohatera na swoich barkach.

Później stał Kierenski w samochodzie i przemawiał do żołnierzy. „Obywatele! — wołał Kierenski — Niemcy tak dalece gardzą nami, Rosyanami, że wszystkie swoje wojska z naszego frontu wysyłają do Francyi. Wkrótce zwyciężą wszystkich naszych sprzymierzeńców, a potem zwrócą się przeciwko nam i zgniotą nas i naszą wolność. Żołnierze! Będziecie znowu niewolnikami cara i nie dostaniecie ziemi, jeżeli nie chcecie ofenzywy“.

Żołnierze byli uniesieni i nosili na ramionach Kierenskiego. Przybyli oficerowie i pokornie zapraszali Kierenskiego na bankiet. Kierenski odwrócił się, poszedł do rowów strzeleckich i jadł z szeregowcami. Potem znowu przemówił, kiedy zaś skończył, zaczęły grać wszystkie działa.

W cukierni siedzieli oficerowie sztabu generalnego z obywatelami i mówili z goryczą: „Stanowczo nie przełamiemy frontu nieprzyjacielskiego. Nie zdołaliśmy tego uczynić ani pod Zborowem, ani pod Brzeżanami. Na czele „hołoty“ nikt nie zwycięży“.

Ale Kierenski zwyciężył pod Jamnicą. Mieszkańcy Stanisławowa widzieli idących ulicami smutnych jeńców. Kobietom wolno było dawać posiłek jeńcom austro-węgierskim, niemieckim zaś nie. W kilka dni później Rosyanie zaczęli cofać się i plądrowali miasto. Najbardziej rabowali żołnierze bolszewiccy, którzy nie chcieli walczyć.

Gdy bataliony rosyjskie cofały się, mówili żołnierze: „Nie zostaliśmy zwyciężeni, ale „batiuszka“ Kierenski w mowie swojej wyraźnie powiedział, że nie chcemy zdobywać obcego kraju, tylko bronić swojego. Więc ustąpimy z Galicyi, ale na granicy będziemy walczyć znowu jak lwy“.

Kronika tygodniowa.

Gdybym był politykiem na większą skalę, to jest co najmniej takim, który jedną nogą „robi politykę" w Krakowie, drugą zaś we Wiedniu, bawiłbym teraz z pewnością na wakacyjnych wywczasach w Maryenbadzie. Ponieważ zaś jestem tylko kronikarzem *Nowości illustrowanych*, siedzę spokojnie w Krakowie i kąpię się we własnej wannie, o ile naturalnie nie pęknie jaka rura wodociągowa, pozbawiająca nas bielańskiej wilgoci. Miałem zamiar, ze względu na modę, rozpocząć bodaj tutaj na miejscu maryenbadzką kuracyę, ale różne okoliczności stanęły mi na przeszkodzie. Znalazłem już nawet towarzysza niedoli, który miał zamiar zabawić się w „Karlsbad" i obiecywał towarzyszyć mi na porannych spacerach wzdłuż starego koryta wonnej Rudawy, ale w ostatniej chwili zmienił oryentacyę kuracyjną i wyjeżdża do Zakopanego.

Kuracya maryenbadzka połączoną jest z różnemi nieprzyjemnościami, dającemi się we znaki zwłaszcza podczas owego porannego spaceru na Błoniach, gdzie, jak na złość, choć „maryenbadczyków" jest wielu, znajduje się tylko jeden jedyny pawilonik, wprawdzie stylowy i zbudowany z betonu, ale nie wystarczający bynajmniej dla wszystkich tych, którzy spieszą w jego gościnne wrota. Byłoby więc wskazanem, by fizykat miejski postarał się o kredyty na jego rozszerzenie, ewentualnie pobudował ich więcej, lub w ostatecznym wypadku zalesił bodaj brzegi Rudawy. Dopóki to się nie stanie, o regularnem przeprowadzeniu maryenbadzkiej kuracyi tu na miejscu, w Krakowie, i mowy być nie może.

Następstwem kuracyi maryenbadzkiej jest schudnięcie, które objawia się spadkiem żywej wagi danego osobnika. Ponieważ zaś każdy z rozszerzonych obywateli miasta Krakowa, dzięki przymusowej dyecie i różnym postom, jest w tem miłem położeniu, iż i bez wody maryenbadzkiej staje się coraz bardziej filigranowym, doszedłem do wniosku, iż szkoda na nią pieniędzy. Zwykle zresztą tak sie dzieje, iż każdy z kuracyuszy stara się najpierw, by schudł, (jedni dlatego, bo im to dobrze robi, inni, gdyż wyglądają bardziej interesująco...), potem zaś zaczyna się odżywiać intenzywnie, aby znów powrócić *in statum, quo ante*, czyli wchodzi w to zaczarowane koło, z którego wyjściem chyba droga na Rakowice. Ponadto, woda maryenbadzka zdrożała, spacerów porannych nie można urządzać ze względu na oszczędzanie obuwia, należałoby więc chodzić boso, czyli skombinować kuracyę maryenbadzką z kneippowską, a byłyby to dwa grzyby w barszcz.

Co wszystko rozważywszy należycie, rozpoczęcie kuracyi odłożyłem na powojenne czasy, a na razie wysłałem swą lepszą połowę na wakacyjny odpoczynek do Krynicy, złożywszy jej solenne przyrzeczenie, iż słomiane swe wdowieństwo spędzę jak Bóg przykazał, nie sprzeniewierzę się jej myślą, mową, ni uczynkiem, a nadto, o ile czas pozwoli i uregulowanym zostanie ruch pociągów, tak zwanych kominiarskich, podążę za nią, bodaj na jeden dzień co tygodnia, by się na własne oczy przekonać, czy jej czego nie brakuje. Zabrała ze sobą sporo prowiantu, który powinien wystarczyć bodaj na dwa tygodnie, dalszą przesyłką ja się mam zająć, zaopatrzyła się też w sporą ilość fajkowego tytoniu dla górali, aby, przy jego pomocy, prowadzić tam handel zamienny. Dzięki wojnie cofnęliśmy się kulturalnie o całe setki lat, w owe czasy, kiedy pieniędzy nie znano, a cały obrót handlowy polegał tylko na zamianie.

Wiedzą o tem dobrze nasi współobywatele z Kazimierza, nagromadzili też u siebie sporo tytoniowych zapasów i przy ich pomocy prowadzą pertraktacye handlowe, świetnie się im opłacające. Nie brakuje im też niczego, do czego nasz żołądek wzdycha napróżno i dlatego nic sobie nie robią z wojny, narzekając na nią tylko o tyle, o ile zbliża się jaki asenterunek. Ale i one nie dają się im zbytnio we znaki, przeciętnie bowiem co drugi jest jakim dostawcą lub przedsiębiorcą, posiada więc warunki do starania się o uwolnienie od czynnej służby wojskowej, wychodząc z założenia, iż „słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę", ale stokroć słodziej i pożyteczniej „być dla niej dostawcą..."

To się dopiero nazywa prawdziwą filozofią życia.

Ponieważ i ja jestem filozofem, ale z innej szkoły, bojąc się, by mi znowu nie brakło miejsca na omówienie spraw aprowizacyjnych, zaczynam dziś od nich, politykę kantem puszczając, zwłaszcza, że w obu poprzednich kronikach zbyt jej wiele miejsca poświęciłem.

Aprowizacya zaś to grunt, zwłaszcza dla tego, kto ma zamiar rozpocząć kuracyę maryenbadzką. By się do niej nadawać, musi się być tłustym, a takim może być tylko ten, kto je dobrze i pije. A jak tu teraz jeść i pić, gdy wszystkiego brak, a człowiek musi się żywić tem, co dawniej szło wyłącznie na użytek wszelakiego stworzenia, ozdobionego rogami i bez nich. Tłuszcz z pomyj, szpinak z koniczyny i inne tym podobne smakołyki są teraz na porządku dziennym, nic też dziwnego, że lada pies lub prosię patrzy na człowieka z podełba, widząc w nim wroga, sprzątającego mu z przed nosa to, co dawniej tylko dla nich było przeznaczonem. Mają najzupełniejszą racyę owe bezmyślne, a przecież mądre stworzenia, mają jednak i ci, którzy mówią, że schodzimy na psy. Bo tak jest w rzeczywistości!

Gdym zaczął onegdaj zastanawiać się nad tem, czego nam brak, doszedłem do przekonania, iż wszystkiego, pozostał nadmiar jedynie tylko w dziedzinie środków na schudnięcie, których dziś nikt nie używa, mogąc w sposób zupełnie naturalny dojść do wyglądu zapałki...

Są wprawdzie różne władze, które mają za zadanie zajmować się sprawami aprowizacyi, z ministerstwem amunicyi żołądkowej na czele, ale działalność ich, jak dotąd przynajmniej, nie wykazała jeszcze tych błogosławionych skutków, na jakie oczekiwaliśmy. Dzięki różnym centralom, które miały równomiernie rozdzielić wszelakie zapasy, mamy tylko nierównomierne braki, a już zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego na przykład obywatel miasta Krakowa ma dziennie spożywać mniejszą racyę chleba, niż Wiedeńczyk?... Bo tak wypada z rozdziału mąki na tydzień i głowę (raczej żołądek). Kto mi to potrafi wytłumaczyć i uzasadnić, otrzyma w zamian, jako nagrodę, kartę na pobór denaturowanego spirytusu, którego nie mogę nigdzie dostać, choć mam nawet protekcyę panów z Centrali spirytusowej!...

Miejski urząd aprowizacyjny zmienił niedawno nazwisko na „gospodarczy" i gospodarowałby może, gdyby miał czem, niestety jednak na drodze do Krakowa leżą różne miasta, gdzie ludzie są także głodni i tam dostają się zapasy, przeznaczone do zaspokojenia naszych apetytów. Niedawno czytałem, że do Krakowa „skierowano z Gänsendorfu cały pociąg mąki", czy on jednak nie zmylił drogi i nie pojechał w przeciwnym kierunku, tego powiedzieć nie mogę.

Dajmy jednak na to, że pociąg ten w samej rzeczy w Krakowie się zatrzymał, że mąka była pierwszej jakości i zupełnie nie stęchła, że ją rozdzielono piekarzom. Sądzić należałoby, że, skoro piekarz otrzymał piękną mąkę i chleb będzie lepszy jakościowo. Tymczasem zaś dzieje się zupełnie inaczej, gdyż nasi panowie piekarze, vulgo męczybuły, to bardzo dowcipni ludzie, którzy mąkę piękniejszą chowają i sprzedają potem pokątnie po wysokich cenach, a chleb wypiekają z najrozmaitszych rozmaitości. W ten sposób hartują nasze żołądki, a i to coś znaczy. Dziś dopiero widzimy, że racyę miał, kto wymyślił przysłowie: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem"... bo w dzisiejszych warunkach obaj wyjdziecie z tej walki ze sińcami.

Obok chleba i mąki najbardziej dolegającą wszystkim bolączką jest węgiel, doprowadzający nasze gospodynie do prawdziwie czarnej rozpaczy. Brak go zupełny, w skąpej bardzo ilości otrzymują go tylko wybrani i to po cenach, wyśrubowanych do ostateczności!... O zrobieniu zapasów na zimę niema ani mowy. Pocieszają nas wprawdzie, że tego roku można się będzie obejść bez węgli, gdyż zima będzie przeniesiona na przyszłe lato, a ono zajmie jej miejsce, ja jednak wątpię w to i przypuszczam, że będziemy i tego roku porządnie marzli, a wnoszę to choćby z tej tylko okoliczności, iż już teraz zaczynają mi na łysinie porastać nowe włosy, co jest niechybnym znakiem, wedle ludowych wierzeń, bardzo ostrej zimy. Gdyby to chciały tak wyrosnąć świeże włosy na mem futrze, które też wyłysiało!... Próbowałem różnych cudownych maści na porost włosów, nawet wyrobu Ihnatowicza i pani Anny Csillag, ale wszystko na nic się nie zdało.

Na domiar wszystkiego obiecują jeszcze, że w zimie, z powodu właśnie braku węgli, ustanie dostarczanie odbiorcom gazu świetlnego do celów gospodarczych, że więc, wobec tego, narażeni będziemy na marznięcie.

Szkoda jednak o tem i pisać, zwłaszcza, że na to nie poradzi nikt, jak powiadają, nawet i Centrala węglowa, która stale konstatuje, że węgla brak i że produkcya nie odpowiada zapotrzebowaniu. Zresztą Galicya, to kraj rolniczy, mający wiele lasów, niech więc pali drzewem. Ale skąd go wziąć, skoro i ono jedzie na zachód?... Taki już wiatr wieje!

Węglami pali się w piecu, na piecu grzeje się mleko, do niego więc krok tylko jeden. Jak dotąd, mleka mieliśmy tyle, ile nam mniej więcej potrzeba, to jest nie zadużo i nie zamało, choć, prawdę rzekłszy, nieraz go brakło tu i ówdzie. Teraz jednak będzie gorzej, ktoś tam bowiem przyszedł do przekonania, że Galicya, jako kraj mlekiem i miodem płynący, nadmiar swego mleka powinna skierować tam, dokąd dąży wszystko, to jest na zachód. Gdyby to o miód chodziło, nie miałbym nic przeciw temu, co się mleka przecież tyczy, to mam pewne wątpliwości, czy to Galicyi wyjdzie na zdrowie. Pomysły, zrodzone przy zielonym stoliku, nie zawsze są trafne. Niech Galicya dojdzie do tego stanu bydła rogatego, jaki miała przed wojną, można będzie wówczas myśleć o eksporcie mleka na zachód. Jak długo przecież stosunki się nie zmienią, ani mowy o tem być nie może, chyba, że mamy być wydani na pastwę głodowej śmierci.

Zupełnie podobnie dzieje się z mięsem i wędlinami, które dla wielu z nas są jednym z najważniejszych artykułów spożywczych. Nawet najordynarniejszej kiełbasy brak, bo całe wagony różnych świńskich delikatesów wędrują co tydzień w stronę Wiednia. To pewne, że Wiedeńczyk, mając żołądek i apetyt, musi jeść, ale też równie pewnem jest, że i Krakowianin ma te same, co on, prerogatywy. Innego przecież zdania są panowie, którzy wszystkiem tem kierują z poza zielonego stolika.

I kto wie, czy cały numer *Nowości Illustrowanych* wystarczyłby na to, by rozwodzić się nad różnymi brakami i wszelkiemi niedomaganiami życia, które z obowiązku kronikarskiego muszę poruszyć i łzę nad niemi wylać. Ale zaraz ją i ocieram, czytając zapewnienie, że czynniki, do których to należy, wentylują różne projekty, jak możnaby złemu zaradzić. Ale, czy owa wentylacya zda się na co?... Obawiam się, że może nie, gdzie bowiem wentyluje się zbyt silnie, powstać musi z samej natury rzeczy przeciąg, który zdmuchnie z przed nosa i najwspanialsze pomysły. Nie traćmy przecież nadziei, że będzie lepiej i że się wojna skończy, wbrew oświadczeniom różnych polityków, jeszcze przed zimą, zanim pojawi się znowu lord Kitchener, który się wprawdzie utopił, ale, jak zapewnia jego rodzona siostra, niedługo znów ożyje.

Jak z jednej strony okazuje się skłonność do pokoju, tak znów z drugiej wieje duch coraz bardziej wojowniczy. Syam wypowiedział wojnę mocarstwom centralnym, Chiny zbierają też swe wojska, by je pchnąć na front europejski, prawdopodobnie rosyjski, by się Moskalowi wywdzięczyć za to, iż stale obdzierał je że skóry... Jako zdeklarowany pacyfista przechodzę nad tem do porządku dziennego, radząc jednym i drugim, by siedzieli cicho, pilnując swego nosa. Co dziś mnie, jutro tobie — mówi przysłowie, a na tej podstawie łatwo stać się może, iż Anglia z czasem zabierze się do wyprawienia skóry chińskiej i syamskiej. Zwłaszcza, jeżeli się pokaże, że to dobry dla niej interes.

Kilka słów wzmianki poświęcić muszę i odwrotowi Moskali z Galicyi. Dopóki była to armia białego cara, mówiliśmy i pisali, że to horda dzikich barbarzyńców, a pisma notowały niejednokrotnie jej gwałty i bezprawia. Dziś, gdy pod obuchem rewolucyi runął tron carów, byliśmy pewni, że w szeregach rosyjskich zapanują więcej ludzkie instynkty, tymczasem widzimy, iż zaszła pomyłka. Cała wschodnia Galicya, z której najeźdźca ustąpił, przedstawia obraz tak strasznego zniszczenia, iż poprostu wierzyć się nie chce, iż sprawcami jego są... bojownicy za wolność! Moskale wstępują widocznie w ślady Anglików, którzy także w imię wolności palą i mordują. Galicyjscy rusofile, o ile jeszcze tacy są, mają miłą pamiątkę z pobytu swych uwielbianych przyjaciół!...

Z chwilą ustąpienia Moskali za Zbrucz, wypogodziło się u nas, a nawet i ociepliło się, widocznie więc i cała przyroda cieszy się z pozbycia tych nieproszonych gości, którzy chyba już zrezygnowali z projektu napicia się kawy we Wiedniu i Berlinie. Nie uda im się to nawet przy pomocy pana Wilsona, który przecież może wróci do rozumu i obejmie znowu stanowisko orędownika pokoju, zamieniając miecz na różdżkę oliwną. Ameryka zarobiła dość na tym interesie, nie powinna więc lekkomyślnie wydawać pieniędzy na tak niepewne przedsięwzięcie, jak wojna. Bo... nuż się noga powinie i szczęście wojenne zawiedzie? Amerykanie nie darowaliby tego swemu prezydentowi, ale gotowi go, w dowód wdzięczności, powiesić na pierwszej lepszej latarni, a tych ani w Nowym Jorku ani w Waszyngtonie nie brakuje!...

Gdyby mnie chciano słuchać, a wiadomo, że nieraz radzę bardzo mądrze, ułożyłbym takie warunki pokojowe, iż żadna ze stron walczących nie mogłaby ich nie przyjąć. Każdy otrzymałby, co mu się należy, nie zapomniałbym nawet o królu Nykicie, który, biedaczysko, nie ma dziś nawet tej władzy, co król kurkowy w Krakowie!... Niech się tylko zgłoszą do mnie, czy to prywatnie, czy w drodze urzędowej, a nie poskąpię dobrej rady, w zamian nic nie żądając, nawet honorowej emerytury... Bo wojny mam już dość i byłbym bardzo rad, gdyby raz wreszcie zaświtał pokój, a z horyzontu zniknęły te rozmaite kartki chlebowe, cukrowe, spirytusowe, naftowe i t. d.

Co daj Panie Boże jak najprędzej!...

Zagadki do nagrody.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, ą, ą, ą, b, d, d, d, d, e, e, i, i, l, l, ł, s, n, n, z, z, z, z

Trójkąt magiczny.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko miasta w Galicyi, o którego zdobycie toczyły się niedawno zacięte walki.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Miasto w Galicyi środkowej. 3. Kraj w Afryce. 4. Miasto na Litwie. 5. Plemię indyjskie w Ameryce. 6. Dopływ Wełtawy. 7. Miasto w Królestwie Polskiem. 8. Pasmo gór w Europie. 9. Dopływ Dunaju. 10. Zaimek. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kup wszy, suko Celty Y.

Łamigłówka literacka.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z każdego nazwiska, idąc z góry na dół, wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nazwisko polskiego poety.

Kraszewski.
Asnyk.
Malczewski
Orzeszkowa.
Dygasiński.
Krasicki.
Brodziński

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ryczę o pląs, o nyto Z

Okienko.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a a a
a a a
b b b
c c e e h h i
i l l
m m n
r r s s t t u

Znaczenie wyrazów: 1. Koń tatarski. 2. Zdrobniałe imię żeńskie. 3. Bęben.

Łamigłówka na czasie.
Ułożył Milada, Busko.

Przytoczone ośmiowiersze uzupełnić dwoma rymami. Tytuł i wiersz ostatni podać należy w całości. Kreska oznacza zgłoskę.

„— — — — ?"

Cna wojenka wciąż — — —.
Dzień za dniem upływa — —,
Nic nadziei — — — —:
Coraz marniej, coraz — —...
Człek, tak ongi wesół, — —,
Zda się, Bogu ducha — —;
Oczekując *pacis* — —,
Klnie i głodem dziś — — —.

Biada, ale nędzę — —
I w krytycznym czasu — —,
Cicho siedząc na swej — —,
W „napół śpiących" staje — —...
Tylko jedno ma — — —,
Co mu dzierży mózg — — —,
Co go dręczy, stale, — —:
„— — — —?... — — — —?..."

Kwadrat magiczny.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko niemieckiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Lud z rodziny Aryów. 3. Wódz kartagiński. 4. Zawód. 5. Ssak ze szczerbaków. 6. Kwiat ogrodowy. 7. Imię żeńskie. 8. Miasto na Żmudzi.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył St. Winter (syn), Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - o - - - e - - y, - a - - ie - - - - ię - ie.
2) - e - - - a - y - y - ą - y - - o - - a - y.

Bilety wizytowe.
Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

TAD. ST. NEY.

OT. LOR NOGI.

T. GATERSKI.

N. KUNIESKI

ST. RESAT-WOREK.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Eug. Żmijewskiej*: **Książę Pan.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Logogryf:

B
A a r
b a r a n
w a r c a b y
B a r c e w i c z
b a ł w a n y
a f i s z
E c k
z
s
e t a
a g a w a
T y r n o w a
S t a n i s ł a w
a r i a t o n
b u ł a t
c a l
w

Okienko:

C e l e b e s
e r t
l e r
e r e k c y a
b c g
e y a
s t r a g a n

Zadanie do przestawienia: Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo.

Grzebieniówka:

M a r y a S t u a r t
a o n o m n
k m a m a r
r a l b r y
e n i o a s
l i z l n t
a a a a t a

Zadanie do przestawienia: Jak szczęście dogrzeje i kapłon zapieje.

Łamigłówka:

Kowal
konak
alibi
kreda
kubeł
sroka
Dawid
biuro
egida
pięta
Wacek
glina
afekt
napad
otawa
finał
Janus
gryka
lampa
Agata
Parys
Styka
klika

Bilety wizytowe: Pilot. Maszynista. Hypnotyzer. Artysta komik. Czapnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, S. Drozdowski Lwów, B. Róg Stryj, B. Książek Miejsce Piastowe, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M. Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M. Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H. Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, E. Bogdalska, Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Makowski, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 331.**

Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnem

Radiowa tarcza świecąca.



Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format K 10·—. Radiowy K 14·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 16·—, 18·—, radiowy K 20·—, 22·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Amalfa K 30·—, radiowy koron 10·— więcej, z szkłem ochronnem K 2·— więcej. — Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 10·—, I. jakości K 15·—, 20·—, 24·—, prawdziwy srebrny K 30·—. Budzik kieszonkowy K 40·—, radiowy K 50.—. Wojenny budzik niklowany 20 cm, wysoki K 10·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

Nowość! Kieszonkowa lampa dynamo (bez bateryi) 24 koron. **Nowość!**

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

Cena: oprawne w płótno 3 kor., w karton 2 kor., broszurowane 1·50 kor.



Pewny skutek. Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** — Stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 4·—, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 9·—. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-prep **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 35. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. K. Miklaszewskiego plac Dominikański. Bękner, Długa 4. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, ul. Krakowska. Apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sładowskiego. **Tarnów:** Droguerya Bracha. **Bielsko:** Droguerya Polaczka. Kolejowa. **Lublin:** Perfumerya Sienkiewicza. **W Białej:** Drogerya Tanewskiego.

Jedwabne materye

lniane obrusy, ręczniki i chustki do nosa poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki przesyła się na żądanie tylko bezpośrednim konsumentom. Towary w dobrym gatunku.

Bezpłatnie



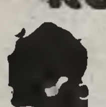
otrzyma każdy na życzenie mój katalog główny zegarków, złotych, srebrnych towarów i instrumentów muzycznych. Skrzypce po kor. 14·—, 20·—, 25·— i wyżej. Dobra harmonijka kor. 16·—, 25·—, 35·—, 50·—. Dwurzędowa harmonijka koron 70·—, 80·—, 100·—, 120·—. Trzech rzędowa harmonijka koron 180, 200, 240, 280. Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką lub poprzednim nadesłaniem pieniędzy przez

dom wysyłkowy

HANNS KONRAD

c. i k. nadworny dostawca Brüx. Nr. 1746 Czechy.

Różowe policzki



i usta naturalnej piękności po użyciu jedynie dobrej i zupełnie nieszkodliwej dr. A. Rixa **wody różanej** (do mycia). Nikt nie pozna, pomimo wspaniałego działania. 1 flakon K 3·—. Dyskretna wysyłka za pobraniem lub nadesłaniem należytości.

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4. **We Lwowie:** Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sładowskiego. **Tarnów:** Droguerya Bracha. **W Bielsku:** Drog. Polaczka, ul. Kolejowa. **Lublin:** Perfumerya Sienkiewicza. **W Białej:** Drog. Tanewski.

Każda kobieta



czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

pielęgnowania biustu.

Cenne porady dla niemających biustu. — Piszcie z zaufaniem do

IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2, Oddział Nr. 10.

Nic nie kosztuje.

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik"**

Wacława Grabiańskiego

cena 1 kor.

b) **„Po ślubie"**

Artura Gruszeckiego

cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

Najmniejsza

książeczka do nabożeństwa p. t.: „Książeczka miniaturowa" (5/7 ctm.). Prześliczne wydanie, wyborowa treść dla intelligencyi, elegancka oprawa. Po otrzymaniu K 3·96 wysyła franco Księgarnia katolicka **dra Władysława Miłkowskiego** w Krakowie, ul. Floryańska 1. Taż sama książeczka, oprawna w miękką cielęcą skórkę kor. 5·96 z przesyłką.

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych

Suchotnicy!!

Piersiowo chorzy — Płucno chorzy — Astmatycy — Skrofuliczni — Bezkrwiści Cierpiący na blednicę.

Nareszcie wynaleziono środek, przynoszący dawno upragnioną ulgę w wymienionych cierpieniach i wyleczenie tych chorób zapomocą

Wapienno-żelazistego syropu aptekarza Vertes'a.



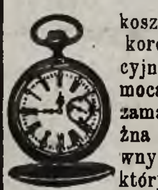
Okazał się już u setek tysięcy cierpiących jako **znakomity środek.** a najpoważniejsi profesorowie i lekarze stosują go i polecają jako skuteczne **lekarstwo** w wymienionych chorobach, jakoteż do **kokluszu, angielskiej choroby (rhachitis), plucia krwią, chudnienia, chorób kobiecych i stawów znużenia i wyczerpania** każdego rodzaju. Z powodu przyjemnego smaku i zapachu zażywają go chętnie nawet najwybredniejsze podniebienia dzieci. **Wojskowi,** wracający z pola walki, wyczerpani i wycieńczeni zażywają go ze szczególnem upodobaniem i ze znakomitym pożytkiem dla wzmocnienia i uzdrowienia **osłabionego przez trudy wojenne organizmu.**

1 flaszeczka K 5·50 opłatnie; 4 flaszeczki wymagane zwykle do zupełnej kuracyi, za nadesłaniem naprzód należytości kor. 17·—

Do nabycia tylko u L. Vertes'a, apteka pod „Białym Orłem", Lugos 741, Banat.

---

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła:

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker K 16·—, 18·—, 20·—. Wojenny zegarek radiowy K 18·—, 22·—, 26·—. Zegarek z białego metalu (srebro Glorya) podwójna koperta Anker remontoir K 28·—, 30·—, pozłacany zegarek Anker remontoir z podwójną kopertą K 36·—, 38·—. Prawdziwy srebrny Anker remontoir K 40·—, 50·—, 60·—. Budziki i zegary ścienne w wielkim wyborze. 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Już wyszedł

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 2 korony.

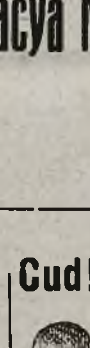
Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych"

Potrzeba dwóch zecerów

do

Nowości Illustrow.

Cud! Ręczne szydło tylko K 3·90.



Nasze cudowne szydło ręczne daje ścieg jak prawdziwa maszyna do szycia. Największy wynalazek! Każdy sam może naprawiać, cerować, zeszywać wszelkiego rodzaju dywany, skóry, płachty do wozów, namioty, płaszcze gumowe do rowerów, worki, płótna i t. p. Dobrodziejstwo dla rzemieślników, gospodarzy i żołnierzy. Mocna konstrukcya, łatwa robota. **Gwarancya za trwałość.** Liczne listy dziękczynne. Szydło z 4 rozmaitemi igłami, nićmi i sposobem użycia kosztuje **K 3·90. 3 sztuki K 11. 5 sztuk K 18.** Wysyłka za zaliczką. (Do pola i Królestwa Polskiego za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy).

M. SWOBODA, Wien III/2 Hiessgasse 13-31.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.